AS



Nr. 31
2 SIERPNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Jesteśmy bezwzględnie zwolennikami systemu wydawania znaczków, stosowanego przez Stany Zjednoczone. Zasadnicza serja, wprowadzona w U. S. A. w 1922, była uzupełniona tylko wartościami dodatkowemi i przetrwała aż do dzisiaj dnia, a należy jej rokować jeszcze długi żywot. W międzyczasie w Polsce zmieniono serję główną już 4 razy, nie mówiąc o tem, co się dzieje w Rumunji, Włoszech, Hiszpanji, skąd zresztą należy już niedługo oczekiwać znaczków rewolucyjnych. W U. S. A. większe serje pamiątkowe wydawane są bardzo rzadko, a dla uczczenia rocznic lub dla pokazania fragmentów parków narodowych itp. wystarczają serje, złożone jedynie z najpospolitszych wartości, które rozchodzą się zato w miljonach egzemplarzy i dla wszystkich mogą być dostępne.

W ostatnich czasach obchodzono za oceanem jubileusz wyspy Rhode Island, która została odkryta 300 lat temu, a także stanu Arkansas, który 100 lat wstecz został połączony definitywnie z Unją. Obszar tego kraju jest wielkości 1/3 Polski i leży nad brzegami rzeki tej samej nazwy — zachodniego dopływu Missisipi.

Na znaczku widzimy budynek poczty w Arkanzas tak, jak wyględał przed wiekiem, obecny gmach „sejmu" stanowego (na prawo) i dawną siedzibę rządu (w kole).

Oba znaczki są wykonane niezwykle starannym stalorytem w tonie „lila". (Nadesłał nam je „Klub Filatelistów" przy Polskiej YMCA, Kraków Krowoderska 8).

Ze zbioru dyr. A. Landaua reprodukujemy najnowsze wydanie kolonij włoskich. Niewątpliwie będą się one cieszyć powodzeniem u młodszych filatelistów, ale zdaje się, że wobec bezustanego zalewu nowości niema nikogo w Polsce, ktoby posiadał komplet czy to Libji czy Somalisu. Gdy tylko Włosi usadowią się na dobre w Abisynji, można się spodziewać, że i Etjopja obdarzy nas serjami lotniczemi i portowemi.

Znacznie ładniejszą jest serja na pamiątkę 200-lecia zajęcia Surinamu (Gujany hol.) przez Holendrów. Symbol braterstwa białych z murzynami na tle krzyża jest bardzo wzniosły, ale chyba niebardzo prawdziwy, bo jeśli chodzi o małżeństwa kolorowe, to stanowią one zaledwie ułamek procentu w posiadłościach niderlandzkich. Wykonanie serji heliograwurą, która przy odpowiednim doborze tonów nie jest ani w części tak mdł i cukierkowa, jak przy znaczkach włoskich.

W. H.



Najnowsze znaczki: 1) U. S. A. wydany z okazji 300-lecia Rhode Island. 2) Gujany holenderskiej z symbolem braterstwa, 3) kolonjalny włoski, 4) kolonjalny włoski lotniczy, 5) U. S. A. z okazji 100-lecia włączenia stanu Arkanzas do Unji.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

Ciepłe ubranie zimowe... z celulozy.

Dotychczas słyszeliśmy o szeroko rozwiniętej fabrykacji sztucznego jedwabiu, który jak wiadomo, wytwarzany jest z cienkich włókien celulozy. Obecnie fabryki zagraniczne a także polskie — rozpoczęły na wielką skalę fabrykację sztusznej wełny i bawełny.

Prace nad rozwiązaniem problemu sztucznego przędziwa, zastępującego wełnę i bawełnę, sięgają roku 1910.

O ile jedwab sztuczny i naturalny składa się z nici skręconych z wielu włókien o bardzo wielkiej długości, o tyle wełna i bawełna powstaje z krótkich włosków, splecionych w nitkę. Zasadniczo więc dla fabrykacji sztucznej wełny i bawełny należało długą nitkę celulozy pociąć na krótkie kawałki i inaczej ją splątać. Oczywiście jest to tylko schemat właściwego postępowania. Ciekawem jest, że przędza produkowana ze sztucznych włókien ciętych, jest produktem miękim, nie gniotącym się i stanowi doskonały izolator cieplny. Tak, jak wełna — produkt ten pochłania wilgoć i pot z ciała. Co jest rzeczą wprost niewiarygodną — to to, że sztuczna wełna jest o wiele szlachetniejsza od prawdziwej — pozbawiona jest bowiem wszelkich nieczystości.

Jak zachowują się zwierzęta podczas zaćmienia słońca?

W r. 1932, kiedy w Ameryce północnej miało nastąpić zupełne zaćmienie słońca — Towarzystwo Historji Naturalnej w Bostonie postanowiło korzystać z okazji i rozesłało do różnych okręgów odezwy, w których prosi farmerów o obserwacje zwierząt podczas zaćmienia słońca.

Towarzystwo Historji Naturalnej otrzymało w rezultacie dość znaczną ilość obserwacji, które opowiadały o zachowaniu się zwierząt podczas zaćmienia słońca.

I tak owady przyjęły zaćmienie słońca, którego kulminacyjny punkt miał miejsce o godz. 4.30 popołudniu — jako zbliżającą si noc. Świerszcze poczęły ćwierkać, owady dzienne poznikały, pojawiły się ćmy. Pszczoły pospiesznie usiłowały powrócić do uli, w czem jednak przeszkodziła im szybko zapadająca ciemność. Podobnie zachowały się ptaki i płazy. Uczucie strachu zauważono u psów i u bydła domowego. Dzikie zwierzęta, zamknięte w ogrodach zoologicznych, nie reagowały zupełnie na zapadający zmierzch.

Schronisko dla turystów... na wulkanie.

Wybudowanie szosy turystycznej na Etnę przyczyniło się do wielkiego rozwoju ruchu turystycznego na tym odcinku. Coraz większe rzesze turystów odwiedzają ten wulkan sycylijski. Nowa szosa pozwala automobiliście po godzinnej jeździe wznieść się na wysokość około 1900 m. nad poziom morza. Ponieważ poza wspaniałym krajobrazem istnieją w tej okolicy możliwości uprawiania narciarstwa, przeto projektuje się budowę wielkiego schroniska u szczytu Etny. Będzie to zapewne jedyne schronisko na wulkanie, w którem turyści będą odpoczywać, szukając spokoju i ciszy!

Został jeno samotny cedr...

Jeszcze niedawno temu dziesiątki Polaków przechodziło co dnia pod pomnikiem Mickiewicza na Placu Alma, aby udać się do pobliskiej Ambasady Polskiej. Dziś Wieszcz-Pielgrzym wydaje się tu zabłąkanym, ze swym długim kijem podróżnym w ręku... W tempie rekordowem zniknęły mury pałacyku te-



Samotny cedr na placu Alma w Paryżu.

go, opisanego przez Anatola France'a w „Le lys rouge". Opisał również wielki pisarz francuski samotny wyniosły cedr, skłaniający swe sędziwe ramiona przed gośćmi tej historycznej siedziby. Kiedyś posiadała tu piękną posiadłość markiza de Pompadour. To ona podobno zasadziła drzewko własnoręcznie. Działo się to w roku 1788...

Potem mieszkała tu Zofja Arnould, wcielająca na scenie Opery paryskiej w ciągu dwudziestu lat wdzięczne postacie mitologji i antycznej Grecji. Dopiero w roku 1865 wybudowano gmach, w którym miała osiąść później Ambasada Polska. By nie naruszyć cedru, architekci wsunęli budynek wgłąb. I drzewko radośniej poruszyło ramionami swych gałęzi.

Różne koleje przechodził pałacyk. Stał się siedzibą Ambasady Polski, i cedr samotny był świadkiem wzrostu potęgi naszej. Coraz to poważniejsze osobistości zajeżdżały pod bramę tej placówki. Aż wreszcie przyszedł dzień przenosin. Za zgodą Polski zdecydowano przenieść Ambasadę gdzieindziej, by nie zawadzała ona przy budowaniu na pobliskich terenach wielkiego muzeum sztuki nowoczesnej, mającego przetrwać Wystawę międzynarodową paryską roku przyszłego.

W rekordowem tempie zburzono historyczny pałacyk. Dzień i noc waliły młody pneumatyczne, a auta zabierały tonny gruzu.

Dziś niema już śladu z dawnej budowli. Został jeno — cedr... Samotny dziś, jak kiedyś za czasów pani de Pompadour i świetnej śpiewaczki, pięknej Paryżanki, Zofji Arnould.

Został cedr... Oszczędzili go architekci wieku ubiegłego. Oszczędzą go również architekci Wystawy i Muzeum: postanowiono, że gmachy rozplanowane zostaną tak, by nie niepokoić staruszka, postanowiono więc włączyć go do nowej fizjonomji tej dzielnicy, której szumem ramion zielonych opowiadać będzie o czasach minionych... Zachodzą zmiany polityczne, ekonomiczne, dyplomatyczne... On trwa!

Nie było nas... Nie będzie nas... *Z. Fren.*

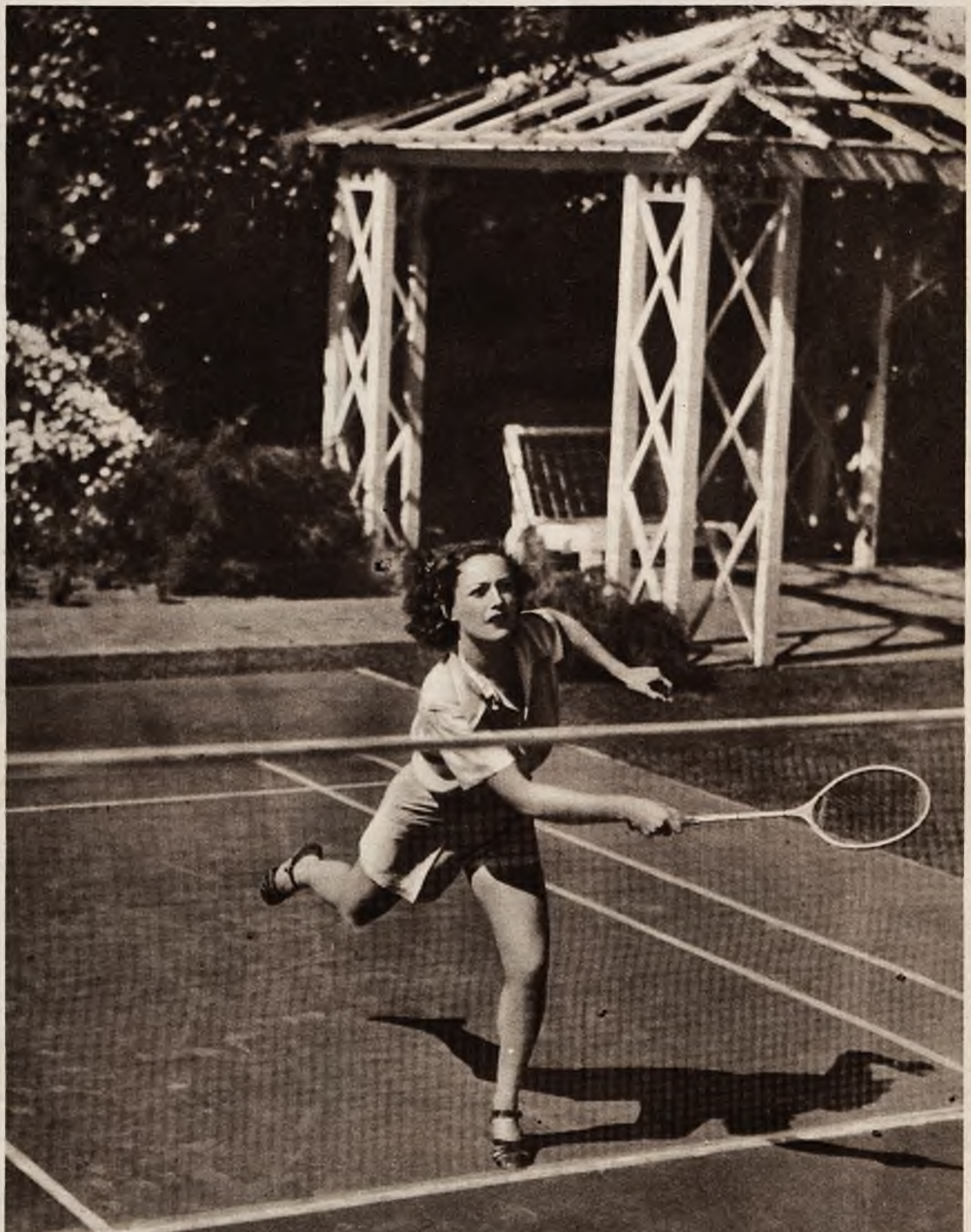
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 31 **Niedziela 2 sierpnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 31-GO:



Fot. Polonsky, Hollywood.

Bardziej niż komukolwiek należy się wypoczynek letni gwiazdom filmowym, to też, jak widzimy na naszem zdjęciu, słynna artystka ekranu Joan Crawford oddaje się z zapałem w swej posiadłości w Badminton grze w tennisa, mając za partnera swego męża Franchot Tone, który znajduje się po drugiej stronie siatki. Odpoczynek jest jej tembardziej potrzebny, że wkrótce rozpocznie ona nagrywanie wraz z Lionelem Barrymoorem, Robertem Taylorem, i innymi nowego filmu mającego za tło historyczną przeszłość Ameryki.

JAN MALESZEWSKI

»PRZEDSZKOLE« MAŁŻEŃSTWA



„Nigdy cię nie opuszczę!"

Rzadko jaka definicja jest zupełnie trafna, nie należy się więc zbytnio przejmować określeniem kawalera, które brzmi, że „kawaler jest to człowiek żonaty, który na szczęście nie ma żony", bo z drugiej strony znów powiedziano, że „człowiek żonaty nudzi się w domu, a kawaler wszędzie". Małżeństwo nie jest tak złem ani tak dobrem jak mówią, — jest takiem, jakiem je sobie człowiek ułoży. Ale aby dowiedzieć się coś konkretnego o tej instytucji, którą jakiś dowcipniś nazwał „sprzysiężeniem dwojga ludzi na... trzeciego", trzeba umieć zdobyć zaufanie ludzi żonatych, co nie jest bynajmniej łatwe, gdyż tworzą oni zamknięte koło, coś w rodzaju groźnej masonerji, do której wpuszcza się tylko wtajemniczonych po przejściu pierwszego stopnia inicjacji!

Jakiemkolwiek jest małżeństwo jest ono rzeczą poważną, a w każdym razie winno być taką, o ile nie ma stać się farsą lub co gorzej tragifarsą. Współczesna nauka, rozporządzająca tak potężnemi atutami psychologji i doświadczenia, wycelowała te działa również w małżeństwo, by przynajmniej w granicach możliwości wyjaśnić, jakie elementy są potrzebne, by było szczęśliwe.

Chociaż małżeństwo nie jest dziś tą instytucją „murowaną", jaką było za naszych ojców i dziadów, to jednak człowiek rozsądny nigdy nie poweźmie tak ważnej decyzji zanim dobrze się nie zastanowi, czy nadaje się do przejścia tego życiowego Rubikonu. Poniżej podane „testy małżeńskie" zorjentują przyszłych mężów i przyszłe żony o tem, jak trzeba uczynić rachunek sumienia, jak zastanowić się nad sobą samym, aby stwierdzić swoją dojrzałość do zawarcia węzłów małżeńskich. Chodzi tu o dojrzałość, oczywiście psychiczną i moralną, nie o lata, które niczego jeszcze nie dowodzą. Dojrzałością można nazwać zrównoważenie swych poglądów na najważniejsze zagadnienia życiowe, wyrobienie sobie zdania i skoordynowanie reagowania na zjawiska życiowe z swemi upodobaniami. Testy małżeńskie odnoszą się do najważniejszych zagadnień przyszłego małżeństwa i w sposób wysoce zgrabny wydobywają przed oczami zainteresowanego te jego wszystkie poglądy i zapatrywania, które dotychczas może tylko podświadomie w nim drzemały. Poruszają więc one zagadnienia: czego spodziewamy się po małżeństwie? Jakich zalet wymagamy od naszego ideału kobiety lub mężczyzny? Czy chcemy mieć w małżeństwie dzieci? Jak ustosunkujemy się do naszej żony czy męża w sprawach finansowych? Jaki stosunek będzie nas łączył z rodziną żony lub męża?

Jak widać z tego pobieżnego zestawienia, wchodzą tu w grę nader poważne momenty. Zaczepiamy zaraz na wstępie o zagadnienie „teściowej", należące wprawdzie do żelaznego repertuaru humorystów, ale będące w życiu nieraz tematem dramatów; stykamy się z kwestją posagu i innych spraw finansowych. Powiedzenie, że „w wieku telegrafu bez drutu powinny również istnieć posagi bez panien", jeszcze nie zostało zrealizowane, więc zagadnienie pieniędzy w małżeństwie zachowało swe znaczenie.

Jeżeli chcemy zbadać samych siebie przy wykreślaniu test musimy być ze sobą zupełnie szczerzy, bo wtedy dopiero dane przez nas odpowiedzi mają jakąś wartość i możemy zbadać grunt, na którym zamierzamy zbudować przyszły wspólny dom rodzinny. Inaczej budujemy na piasku!

A teraz przystępujemy do „egzaminu", notując obok pytania odpowiedź.

1

Jakich zalet wymagasz od przyszłego męża (żony)?

Czy: lojalności i wierności?
temperamentu?
indywidualności osobistej?
uroku fizycznego?
gospodarności?
poczucia humoru?
ambicji?
zdrowego rozsądku i zaradności?
miłości ku dzieciom?
zamiłowania w życiu domowem?
zdolności w zarobkowaniu?

A teraz drugie pytanie:

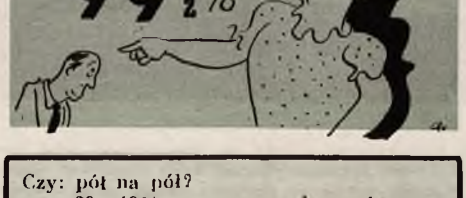
2

Czego żądamy od małżeństwa:

Czy: pomocy w naszej karjerze?
dzieci?
miłości?
wygód?
zadowolenia fizycznego?

3

Jaki udział w inicjatywie w wspólnem pożyciu mają mieć małżonkowie?



Czy: pół na pół?
60—40% z supremacją mężczyzn
40—60% z supremacją kobiety.



Pierwsze wyznanie.

4

Jaki typ kobiet podoba ci się najwięcej?



Czy: „mdlejąca", potrzebująca oparcia o mężczyznę?
energiczna, lubiąca „matkować" mężowi?
koleżanka, nie szukająca ani opieki, ani supremacji?

To samo pytanie stosuje się do kobiet w odniesieniu do mężczyzny.

5

Oznacz cyframi następujące pytania, zależnie od ważności, jaką posiadają dla cie-

bie. — Jakie czynniki skłoniły cię do małżeństwa:

Czy: wspólne gusty, upodobania i interesy?
chęć posiadania dzieci?
wspólna religja?
wspólne pochodzenie i narodowość?
podobne poglądy na życie i politykę?
urok fizyczny?
współczucie dla nieszczęść drugiej osoby?
urok zmysłowy drugiej osoby?

6

Czy chcesz mieć dzieci:



wkrótce po ślubie?
po dwóch lub trzech latach małżeństwa?
kiedy będziesz mógł je odpowiednio utrzymać?

Czy uważasz, że nie należy mieć dzieci, jeżeli:

istnieje w rodzinie dziedziczna choroba?
ubóstwo utrudnia ich wychowanie?
gdy jedna ze stron nie chce mieć dzieci?

7

W jakich stosunkach żyjesz z rodziną przyszłej żony (męża)?



z teściową?
z teściem?
z szwagrami?
z dalszą rodziną?

8

Czy uważasz, że po ślubie żona:

powinna zachować finansową niezależność i swój zawód?
powinna poświęcić cały czas domowi i dzieciom?
powinna zachować częściowo swe zajęcie zawodowe?

I oto weszliśmy już na śliską ścieżkę spraw finansowych, doprowadzających nieraz do poważnych „zaburzeń" małżeńskich. Ale idźmy dalej tą drogą, gdyż jeszcze jedno pytanie tego rodzaju czeka na nas.

9

Czy w sprawach finansowych uważasz, że:

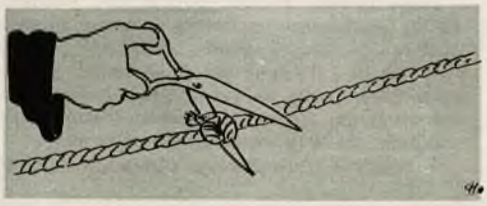


żona powinna otrzymywać określoną sumę na prowadzenie domu i dysponować nią dowolnie?
mąż ma prawo nadzorować wydatki żony i o nich decydować?

Pozostaje nam jeszcze jedno pytanie, które ściśle biorąc nie należy do małżeństwa, lecz do jego... rozwiązania! Przykra rubryka rozwodu!

10

Czy uważasz, że rozwód:



może być usprawiedliwiony wogóle?
usprawiedliwiony jeżeli małżeństwo nie uszczęśliwia żadnego z małżonków?
usprawiedliwiony, jako ostateczne wyjście?

A teraz, skorośmy przeszli jedno zagadnienie po drugiem i zbadali nasze poglądy, upodobania i cele w małżeństwie, podajemy klucz do właściwego rozwiązania zagadnienia „dojrzałości małżeńskiej", o której mówiliśmy na wstępie. Współcześni psychologowie stwierdzili, że małżeństwo o tyle może być szczęśliwe i przyszli małżonkowie dojrzali do zawarcia jego:

1. O ile mężczyzna chce w małżeństwie znaleźć miłość, przyjaźń, pomoc w swej karjerze, a kobieta dzieci i opiekę.
2. O ile udział w inicjatywie w wspólnem życiu podzielony jest pół na pół.
3. O ile małżonkowie chcą, aby druga strona była przedewszystkiem towarzyszem (szką), ani dominującym ani uległym.
4. O ile mąż i żona cenią wysoko następujące właściwości w wyborze towarzysza (szki): wspólne gusty i upodobania, wzajemną przyjaźń, urok fizyczny, chęć posiadania dzieci, dostateczny majątek, celem zabezpieczenia przyszłości.
5. O ile jedna strona pozostaje w dobrych stosunkach z rodziną drugiej strony, nie podlegając jednak jej całkowicie i umiejąc powziąć decyzję bez jej pomocy czy aprobaty.
6. O ile małżonkowie wyjaśnią przed ślubem swój punkt widzenia na sprawy finansowe w małżeństwie, rozłożenie domowego budżetu i sprawę przyszłych dzieci.

Tak mniej więcej wygląda „deklaracja celna", jaką należy złożyć na granicy małżeństwa! Nie należy importować do tego królestwa żadnych towarów, które w niem znaleźć możemy, nie należy przemycać rzeczy zamieszczonych na czarnej liście. Wszelka kontrabanda mści się wkrótce! Nie należy, mówiąc trywjalnie „jechać do Tuły z samowarem", lecz przeciwnie wydobyć z małżeństwa wszystkie dobre rzeczy. Nakoniec jeszcze jedna drobna uwaga. Nie należy uważać małżeństwa za detal pomagający nam w naszych planach, lecz jako cel sam w sobie, nie trzeba również żenić się komuś... na złość, lecz przedewszystkiem żenić się dla siebie i swej towarzyszki, czy towarzysza. Werwa, szczerość, logiczność i uczciwość popłacają tu jak wszędzie indziej. Większy zapas serca i dobrej woli konieczny!



Od koleżeństwa do miłości jest tylko jeden krok!



SKRZYDLATA PARADA

Stok góry, z której startują szybowce. Nad lasem widoczny szybowiec w locie.
Fot. Jan Ryś, Warszawa.



Powyżej: Szybowce typu CW — V., konstrukcji inż. Czerwińskiego, na zawodach szybowcowych w Ustjanowej.
Fot. F. Kotowski.



Poniżej: Szybowiec tuż po starcie.
Fot. E. Słaszkiewicz.



Szybowiec płynie majestatycznie w chmurach.
Fot. E. Słaszkiewicz.

Wszystko zapowiadało się świetnie. Lipcowy ranek wstał jasny i słoneczny, niebiosa niepokalane, przepojone soczystym błękitem, obiecywały pogodę.

Pociąg, zwyczajnie pustką świecący, dziś wyjątkowo pełny. Przepełniony nawet. Pasażerowie w przeważnej części jadą do Ustjanowej. Nastrój świąteczny, bo to specjalne święto: zawody szybowcowe! Godzina jazdy i jesteśmy u celu.

Zpod niebieskiego stropu wita nas raźny, wartki turkot motorów. To trójka samolotów wyleciała nam naprzeciw.

Na tle błękitu, w blaskach pełnego słońca błyskały te rącze latawce, jak olbrzymie pancerne ptaki, a krewkie, rozgłośne tętno ich stalowych serc było hymnem zwycięstwa nad powietrzną przestrzenią.

Opodal dworca kolejowego, na rozległej polanie u samego podnóża wyniosłej góry wszystko już do uroczystości przygotowane.

Dwadzieścia kilka szybowców w jednym rzędzie. Zda się: ptaki-olbrzymy przysiadły na ziemi. Skrzydła smukłe, wydłużone rozpostarty szeroko, myślisz: do lotu się rwą. Jeden przy drugim tuż-tuż, skrzydłami stykając się niemal. W jasnem słońcu lśnią połyskliwie nowe, świeżością swoją świetne. Gotowe do swej paradnej defilady.

Przy każdym szybowcu pilot — niewolnik jego i jego władca.

Chorągwie różnobarwne, niezliczone, określają granice pola, przeznaczonego na paradę. U granic rzesze ludzkie ruchliwe, szumiące.

Zagrały trąbki. Wszystko milknie, a tylko srebrne dźwięki fanfary mkną przez tę uroczystą ciszę w świat. Białoczerwony sztandar sunie wzdłuż masztu w górę, zawisa na szczycie i stamtąd majestatycznie króluje.

Hymn: Jeszcze Polska nie zginęła!

Wszystko stanęło w bezruchu; i wiatr znieruchomiał i chorągwie przestały łopotać.

Raport; przegląd skrzydlatych sił; krótkie, jędrne słowa; i marsz.

Marsz pod górę, na sam szczyt. Tam start szybowców.

Kto żył, ruszył z miejsca. Góra wyniosła, stroma, uciążliwa (pasmo Żuków w Bieszczadach, 762 m ponad poziom morza).

Tłum ludzki, zwarty dotychczas, rozluźnia się w pochodzie, rozwiera i coraz bardziej wydłuża. Wielobarwna, ruchliwa wstęga rwie się tu i ówdzie, dzieli na części większe i mniejsze, jakby na człony, na ogniwa jakiegoś długiego, żywego łańcucha. Pątnicza rzesza pnie się w górę wolno a wytrwale.

A tymczasem szybowce sadowiono na wygodne podwozia o pneumatycznych kołach, przyczepiano je do stalowej liny, spuszczonej z wierzchołka góry i wciągano zapomocą motoru na szczyt. Pięły się pod górę równo i lekko. Jedyne „istoty", które bez zmęczenia zdobywały ten górski szczyt.

Wreszcie zasłużony wypoczynek. Siadałeś, gdzieś chciał: na ławach, umyślnie dla dzisiejszych gości sporządzonych, albo na ziemi i suszyłeś się w słońcu spocony.

Odsłoniła się przed tobą jakaś kraina zaczarowana, fantastyczny świat z bajki, Góry i doliny i znów góry... coraz dalej i coraz wyżej. Sprzęgły się z sobą łańcuchy i opasywały świat okołem coraz szerzej i szerzej. Zbiegłeś okiem po spadzistym, stromym stoku w dolinie, która tuż-tuż rozwierała się przed tobą, zaledwieś przebiegł jej zieloną, soczystą ruń, już trzeba się było piąć pod górę: zaszyłeś się w gęsty, ciemny las, przebiegłeś jego cienie i znowu na rozległej zielonej płachcie łąk stanąłeś; pobiegłeś dalej, przemknąłeś się pomiędzy dwoma zboczami gór i musiałeś przystanąć na chwilę w biegu: błyskotliwe, płynne srebro Sanu przecięło ci drogę; wskoczyłeś w nie wraz z słońcem, zanurzyłeś się w jego orzeźwiającej fali i już znowu wraz z słońcem pniesz się po zielonym stoku wgórę. I tak ciągle, bez zmęczenia przebiegasz okiem tę krainę, z góry w dolinę, to znowu wgórę, to skaczesz po wierzchołkach samych, z szczytu na szczyt, coraz dalej i dalej, aż hen, gdzie na samym krańcu ostatnim stoją kręgiem czuby najwyższe, w perłowe owinięte turbany. A wszędzie z tobą biegnie słońce, jasne, wesołe; niedzielne.

Wyciąć ten uroczny, wyczarowany zakątek ziemi i zabrać go z sobą!

Godzina południa minęła. Zmęczenie zeszło gdzieś, jakby go nigdy nie było. Oddychasz pełno, szeroko i czujesz, jak z tem czystem, prześwietlonem powietrzem chłoniesz w siebie i słońce i błękit nieba i czar ziemi i jakiś przedziwny, kojący balsam.

Godzina południa minęła. Skończono już posiłek. Szybowce przyholowano z dołu na górę i ustawiono w szeregu, jeden za drukim.

Wszystko do zawodów gotowe: szybowce, obsługa szybowców, zawodnicy, komisja i rzesze widzów.

Komenda:

— Zawodnik Nr. X!

Wywołany zawodnik, ze spadochronem na plecach, staje obok swojego latawca. Próbuje jeszcze to i owo, bada, czy można mu zaufać. Szybowiec siedzi na ziemi lekko, wspierając się tylko wąską, elastyczną płozą, biegnącą wzdłuż kadłuba. Kadłub ma kształt ogromnej ryby; łeb opancerzony blachą, ogon zakończony płetwami steru; skrzydła latawca — to potężne, długie płetwy boczne. U łba, a raczej u gardzieli przymocowane kółko metalowe, do którego się przyczepia długie, grube gumowe liny. Na ogonie podobne urządzenie do przytrzymywania latawca w miejscu.

Instruktor przy pomocy specjalnego przyrządu (wiatraczka) bada chyżość wiatru i podaje do wiadomości lotnika. Pilot wsiada do kadłuba, jak do kajaka i ujmuje ster.

Intruktor rzuca przez tubę:

— Zawodnik, gotowy?!

— Gotowy!

— Obsługa, gotowi?!

— Gotowi!

— Ciągnąć!! Raz — dwa — trzy — cztery. I liczy głośno, wolno, miarowo. Obsługa — po czterech rosłych, silnych chłopów — ciągnie dwie gumowe liny, zaczepione u gardzieli szybowca. Dla przeciwwagi, inni z obsługi trzymają latawca na uwięzi w miejscu, zapomocą stalowych linek, przyczepionych do ogona.

Komenda:

— Biegiem!!

Ośmiu chłopa, biegnąc stokiem wokół, naciąga gumowe sznury co sił.

Wreszcie ostatnie słowo instruktora:

— Puścić!!

Obsługa przy ogonie puszcza latawca z linek, a ten pociągnięty gumami, wylatuje jak z procy ku przodowi. Fala wiatru podpływa pod niego, podnosi go w górę, gumowe sznury samoczynnie odpadają, a szybowiec wolny już zupełnie ptakiem szybuje w przestworzu.

Sunie lekko, majestatycznie, spokojnie. I cicho... I wierzyć się nie chce, że taki olbrzym tak cicho latać może. I gdyby nie delikatny, charakterystyczny brzęk syreny, przytwierdzonej do kadłuba, który przy silniejszych zwrotach szybowca zgóry do ciebie dolata, rzekłbyś, że ten olbrzym-niemowa ciszę na skrzydłach swoich w światy niesie.

Ale niedługo szybował. Za słaby wiatr nie pozwolił mu się wzbić wysoko, a odmawiając swojej siły pędnej, zmusza wnet do lądowania. Miękki, szeroki łuk w prawo, taki sam miękki okrąg w lewo, jeszcze jeden luk i jeszcze jeden... i latawiec spływa coraz niżej i niżej, aż opuścił się całkiem ku ziemi, kierując się dziobem pod górę. Przejechał się jeszcze kawałek po ziemi na swej saneczkowej płozie i osiadł.

Puszczono drugiego latawca, trzeciego i dalsze. Zawodnicy, wywoływani po kolei, wylatywali na swych szybowcach w powietrzne przestworza i oderwani od ziemi, tam w lotnym bezmiarze szukali zwycięskich szlaków i drogi do sławy. A tymczasem z lotniska wojskowego (o parę kilometrów od nas) wystartował samolot, ciągnąc za sobą na długiej linie szybowiec. Wyciągnął go na jakieś zawrotne wyżyny, gdzieś aż pod samo niebo.

Kto żył, patrzył w górę. Tysiące ciekawych oczu śledziło każdy ruch tego nowoczesnego Ikara. A on lekki i zwinny pływał pod błękitami w tym niezmierzonym powietrznym oceanie. Kąpał się w nim i nurzał, i pruł powietrzne jego fale, i igrał w nich. To swobodnym, rozłożystym łukiem zataczał szeroki krąg, to się w miejscu zwracał skrętem krótkim, a skierowawszy dziób w dół kręcił się po spirali i korkociągiem wświdrowywał się w powietrzną głębię; to się podrywał ku górze, głowę zadzierał wysoko i tak leciał prosto w słońce. Albo łeb zwiesił w dół i wirując naoślep ku ziemi pędził, by w jakiejś chwili opamiętać się, głowę podnieść, zawrócić w górę i znów lekko dalej szybować.

W nas, w widzach, serce zamierało, krew ścinała się w żyłach; albo naodwrót, jakiś ogromny ciężar z piersi ustępował.

— O, korkociąg, korkociąg!... O, beczkę robi... patrz... jaka ładna beczka!

Spojrzałem. O parę kroków ode mnie siedział na trawie obok matki malec siedmioczy ośmioletni i nie odrywając oczu od latawca z głośnym podziwem dzielił się spostrzeżeniami z matką.

Skąd znał nazwy tych figur akrobatyki powietrznej, nie wiem. Twarz blada, znieruchomiała; wszystka krew gdzieś do serca uciekła, a tylko oczy szerokie, błyszczące, nie opuszczały lotnika ani na moment. Towarzyszyły mu przy każdym ruchu, wspierały go całą potęgą czującego serca aż do chwili, gdy tuż nad ziemią ostatni, łagodny łuk zatoczył i opuścił się, by lądować.

— Mamusiu, ja też tak będę latał, prawda?

Wpatrzył się wyczekująco w matkę.

Spojrzała na syna i nie rozumiejąc pytania, wciąż jeszcze myślą wysoko w powietrzu zawieszona, kiwnęła dziecku potakująco głową:

— Prawda, prawda...

Edmund Słuszkiewicz.

MOWA ZWIERZĄT



6-miesięczna małpa „Baszi" z Zoo drezdeńskiego ciekawie obserwuje otoczenie.

Ciągłe zdobycze współczesnej nauki coraz bardziej zacierają granice między człowiekiem a światem zwierzęcym. Do niedawna uważano, że zasadniczą różnicą między człowiekiem a światem zwierzęcym jest zdolność człowieka do wyrażania swych uczuć za pomocą mowy. Twierdzenie to zostało jednak zachwiane licznemi doświadczeniami, które stwierdziły, że zwierzęta potrafią się porozumiewać między sobą, a wyższe jak n. p. małpy posiadają nawet pewien zasób słów na określenie ogólnych pojęć jak n. p. niebezpieczeństwo, głód, radość i t. d. Zwierzęta żyjące zbiorowo posiadają doskonalsze sposoby porozumiewania się niż te, które żyją w odosobnieniu. Przykładem mogą być społeczeństwa pszczół, mrówek, termitów i małp żyjących gromadnie. Zdolność porozumiewania się pszczół możemy sprawdzić doświadczalnie. Pszczoły umieszczamy w specjalnym szklanym ulu przez którego ściany możemy obserwować całe wnętrze i widzieć zachowanie się mieszkanek ula. W odległości paruset metrów ustawiamy spodek z miodem do którego zlatują się zwabione zapachem pszczoły. Znacząc w specjalny sposób przylatujące pszczoły, udało się zaobserwować, jak zachowują się one po powrocie do ula. Pszczoła, która znalazła miód biega dokoła ula, opada, wlatuje do środka, podnosi odwłok i obraca się. Ruchy jej z wielkiem zainteresowaniem obserwują inne pszczoły. Wreszcie znalazczyni miodu (poznajemy ją po znaku, który zrobiliśmy przy spodku z miodem) wylatuje a za nią leci część pszczół znajdujących się w ulu. Gdy pierwszą przylatującą do miodu pszczołę chwycimy szczypcami i zamkniemy w pudełku, kontakt z ulem zostaje przerwany i więcej pszczół nie przyleci. Może przylecieć jeszcze 2, 3 ale gdy i te uwięzimy, możemy być pewni, że pomoc z ula do zbierania miodu nie nadejdzie. Widzimy więc, że ruchy te, które wykonuje powracająca z wyprawy pszczoła, są swoistym sposobem porozumiewania się. Bardziej dokładna jest mowa mrówek, które porozumiewają się za pomocą rożków. Uderzenia rożków obserwowano przez szkło powiększające i zauważono, że są one różne dla różnych okoliczności. Inaczej wyglądają gdy jest to ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, inaczej gdy wyrażają znalezienie zdobyczy czy uczucie głodu. Człowiek na jedno pojęcie ma szereg słów do wyboru. Mrówka określa tylko swój stan lub pojęcie ogólne jak: głód, wróg, zdobycz i t. d. Wszystkie głosy jakie wydają zwierzęta mają swe znaczenie. Skonstruowano przyrząd, który łudząco naśladował ćwierkanie świerszczy, jednak zwodził on tylko młode świerszcze, które odpowiadały na ćwierkanie, natomiast stare, doświadczone, zachowywały się obojętnie. Gdy jednak zrobiono doświadczenie i nadano głos świerszcza przez telefon, to drugi słuchający zaraz odpowiedział. Kurki, ryby pospolite na wybrzeżach Anglji porozumiewają się między sobą wydając charakterystyczne dźwięki. — Kurek wypycha powietrze z jednej przegrody pęcherza pławnego do drugiej i w ten sposób wydaje głos. W życiu codziennem możemy zaobserwować, że głosy psów, rżenie koni, śpiew ptaków są różne, zależnie od wyrażanych uczuć. I głosy te są rozumiane przez zwierzęta innych gatunków. Czajka wydaje na widok myśliwego okrzyk trwogi z czego korzystają i inne ptaki i uciekają w popłochu. Wąż grzechotnik w obliczu niebezpieczeństwa wydaje charakterystyczny grzechot. Wyrażanie pewnych uczuć staje się prawdziwie doskonałe u małp. Badanie mowy małpiej zawdzięczamy uczonemu amerykańskiemu Garnerowi, który zbadał też język małp, żyjących zarówno w niewoli, jak i na wolności w dziewiczych lasach środkowej Afryki. Rezultatem tych badań było dzieło p. t.: „Mowa małp" ogłoszone jeszcze około 1890 roku. Szereg uczonych jak Fischer, Yerkes, Boutan, Ridley ustalili cały słownik wyrazów używanych przez małpy. Garner utrwalał głosy małp na płycie gramofonowej i następnie uczył się wymawiania dźwięków. Przeprowadził również doświadczenia z gramofonem wśród małp. W tym celu rozłączono przebywające razem w klatce parę małp. Po rozdzieleniu samica okazywała wielki niepokój i wydawała szereg głosów, które utrwalono na płycie gramofonowej. Gdy kolei zagrano ją przed odosobnionym samcem, niepokój jego nie miał granic. Oglądał się pełen lęku, zaglądał do tuby gramofonu, nasłuchiwał, a twarz jego nabierała wyrazu coraz większej rozpaczy i zdumienia. Garner doszedł do tak wielkiej wprawy, że rozmawiał z małpami, a te żywiły do niego bezgraniczne zaufanie. Słownik małp obejmuje takie pojęcia, jak pić, jeść, niebezpieczeństwo, złość, ufność, nuda, strach, wzruszenie, pożądanie, miłość, zadowolenie i t. d. Mając tak dokładnie określone słownictwo zwierząt wielu uczonych a zwłaszcza Schwidetzky postawił hipotezę, że mowa ludzka wywodzi się z języków zwierząt, na dowód przytaczając mowę niemowląt. Szereg ludzkich grymasów słownych jak cmoknięcia, chrząkania, częste zwłaszcza u ludów dzikich, spotykamy w niezmienionej formie u małp. Różnicą jest jeszcze tylko rozum człowieka zdolny do myślenia abstrakcyjnego i do tworzenia idei niematerjalnych. Ale też nie możemy udowodnić czy rozum zwierząt nie doskonali się i nie osiąga coraz wyższych szczebli tak jak doskonalił się umysł człowieka przez tysiące lat począwszy od człowieka pierwotnego aż po dzień dzisiejszy. **Inż. Władysław Müller.**



W LIPCOWE POŁUDNIE

FOT. PRESSE-PHOTO BERLIN

Życie jest piękne...

JANUSZ MARJA BRZESKI

N • O • W • E • L • A

— Biała kawa ze śmietanką!
— Biała kawa cedzona!
— A dla pana dobrodzieja?

Ah — zna to dobrze! Przywykł do tego! Lepka woń dymu i gorzkiej kawy, zakurzonego pluszu i perfum, odór ciastek. Jest przesiąknięty temi zapachami... A w uszach trzeszczy gwar o szóstej i szelest dzienników.

Najpierw był chłopcem do podawania gazet. Czasem oberwał. Zresztą źle się z nim nie obchodzono. Nawet goście go lubieli i niekiedy dostał parę groszy. No, a życie dawał szef.

Szybko dorastał. Szybciej dojrzewał. Rozmowy w garderobie. Nasłuchał się niemało; kiedy kelnerzy pokpiwali z garderobianej. Patrzał też na dziewczęta w kuchni.

Kiedyś szef go zwymyślał, że zarośnięty. Ze zdziwieniem spojrzał do lusterka. Na drugi dzień przyszedł ogolony i niezgrabnemi, czerwonemi łapami gładził się mlokos po policzkach. Uświadomił sobie, że jest dorosły, że dziewczęta patrzyły od jakiegoś czasu na niego inaczej. Kiedyś pochwalił się, że często golić się musi. Panny zachichotały. Złapały go i korkiem opalonym namalowały mu wąsy i brodę.

— Teraz dopiero jesteś mężczyzną! — wrzeszczały.

Wyrwał się im. Był bliski płaczu — ale potem rzucił się, by uderzyć tę, która go najbardziej wyśmiewała. Dopadł ją wreszcie, lecz złość go już odeszła i chciał tylko pokazać jaki jest silny i ręce jej wykręcić. Przycisnął ją, chwycił za rękę i przypadkowo oparł dłoń na jej piersi.

Nagle osłabł. Odsunął się gwałtownie. Jego pochmurny wzrok spotkał ciemne spojrzenie dziewczyny.

— A nie zaczynaj więcej — powiedział.

Ona nic nie odpowiedziała... odeszła do roboty, on zaś na salę podawać dzienniki i opróżniać popielniczki. Wieczorem znowu spotkał jej wzrok. Potem miał z nią randkę w parku.

Dzień mijał za dniem. Czasem chłopak był zły, kiedy kończył robotę i kawiarnię zamykano. Musiał wracać do domu. Kawał drogi.

Gdy go „wyzwolono" i zaczął na procent pracować — umarła mu matka. Nie zmartwił się tem. Od lat przywykł do myśli o jej śmierci — kiedy leżała blada, prawie przeźroczysta na swem łóżku.

Pomyślał, że była bardzo cierpliwa. Bolało ją czasem, aż twarz się jej kurczyła, ale nigdy nie narzekała. Czasem Janowi w zadaniach dla szkoły niedzielnej pomagała i skarpetki jego cerowała.

A więc kiedy Jana „wyzwolono" — matka mu umarła. Zwolnił się poszedł na pogrzeb. Ojciec, twardy chłop, szedł zasępiony i oczy mu błyszczały. Rodzeństwo Jana pochlipywało cicho, więc od czasu do czasu poszturkiwał dzieciaki.

Dzień był szary. Na cmentarzu ksiądz pokropił trumnę. Brzozy szeleściły i deszcz mżył. Tego dnia Jan pożegnał się ze swą matką. Ziemię grobu ucałował i odszedł podawać w kawiarni.

— Biała kawa ze śmietanką!
— Biała cedzona!
— A dla pana dobrodzieja?
— Józek, dla pana „Matin" i ilustracje!

Ojciec Jana poszedł na emeryturę i objął stróżostwo. Znali go z uczciwości i nawet kaucji nie wzięli. Lata mijały.

A tymczasem Jan nogi schodził. Stopy rozpłaszczyły mu się. Poznawał swoją kawiarnię. Pamiętał gości. Podawał tym paniom w staromodnych kapeluszach z rajerami. Dla Bubusia (piesek pana radcy) przynosił dwie kostki cukru.

Aż któregoś dnia Jan nie zjawił się więcej w swej kawiarni. Pan radca był zaniepokojony. Bubuś cicho skomlał. Panie w rajerach rozglądały się w koło.

W życiu Jana nastąpiła zmiana. Jest teraz kelnerem w nocnym dancingu. Sporo kosztował go ekwipunek. Musiał być przecież dobrze ubrany. Rano — czasem już świtało — wychodził z dancingu z kolegami. Miewał dużo pieniędzy. Ale co z tego! Towarzysze ciągnęli na wódkę i zabierali Jana z sobą. Dość że z pieniędzy nie wiele zostawało.

W małym barze, do którego czasem zaglądał, była ładna bufetowa. Postawna kobieta. Ilekroć razy kasa zabrzęczała — Jan patrzył w tamtą stronę. Rozmawiali też ze sobą. Miała na imię Pamela. Kiedyś nad ranem wstąpił do baru sam.

— Dzień dobry, Pamelu!

— Ładny będziemy mieli dzień... Ale pan powinien już spać, żeby choć kawałek słońca po obiedzie zobaczyć. Trzeba się szanować...

Wzięła Jana ta życzliwość. Stanął koło bufetu.

— Właściwie to powinniśmy się kiedy spotkać, Pamelu. A możeby tak razem do kina?

* * *

Bardzo męczące były przygotowania do ślubu. Tyle chodzenia i te wydatki. No, ale wreszcie wszystko załatwili. Pamela promieniała. Gdy chodzili z Janem pod rękę mocno się do niego przytulała. Taka była szczęśliwa.

Nadszedł dzień ich ślubu. Od samego rana Jan był zdenerwowany. Kazali mu pójść do spowiedzi, więc poszedł. Ksiądz w konfesjonale budził w nim jakiś nieokreślony lęk. A przytem ten zapach w koło: słodko-mdły. Dzwonki słychać przez zamknięte drzwi zakrystji. Szuranie nóg, wytrzeszczone oczy: podejrzeliwe i świętoszkowate. Gdy rozległo się pukanie w deski konfesjonału, Jan ucałował stułę i poszedł do ołtarza. Potem wyszedł na ulicę. Zimne, mgliste powietrze owionęło go.

W kościele parafjalnym wzięli ślub. Było dużo ludzi: znajomi jego i Pameli. Jan zły był na siebie, że się denerwował. Myślał jednak, że to wielka chwila w życiu.

* * *

Janowi zdawało się, że umie postępować z kobietami. Kiedy jednak znalazł się sam z Pamelą w ich nowem mieszkaniu — zrobiło mu się trochę głupio, a i ona także była jakaś „załapana". Jan pomyślał: żona to co innego... Ale to stwierdzenie nie odebrało mu niepewności i nie dodało tupetu.

Rozbierają się w milczeniu. Jan gasi światło i myśli jak też muszą mu zazdrościć koledzy. Zaraz potem przypomina sobie, że pewno żartują na jego temat i jest jeszcze bardziej speszony. Słyszy, jak brzęczą sprężyny łóżka. Pamela położyła się. Jan cicho wślizgnął się pod kołdrę. Leżą daleko od siebie na szerokiem posłaniu. Milczą. Słychać jak tyka budzik w kuchni. Nie mogą zasnąć, ani zbliżyć się do siebie, aby powiedzieć choćby słówko.

* * *

Jeszcze przed ślubem Jan wyszukał i wynajął mieszkanie. Potem pokazał go Pameli. Podobało się jej. A on lubił je i widział ją — swoją małą żonę jako panią tego domu. Teraz, gdy już minęło parę tygodni od ślubu — wraca Jan do swego mieszkania z jakiemś dziwnem uczuciem. Jest wzruszony, gdy dzwoni i czyta wizytówkę ze swem nazwiskiem.

Czasem przychodziło mu do głowy, że potrzebuje teraz dużo pieniędzy. Ale oszczędzał i wystarczało. Trochę mu tylko było przykro, że nie mógł z kolegami pójść na kieliszek.

Któregoś dnia Jan wrócił wcześniej niż zwykle. Otworzył drzwi z zatrzasku. Rozebrał się w kuchni i wślizgnął cicho do pokoju. Powoli podszedł do łóżka i położył się tak, by nie obudzić Pameli. Ona poruszyła się przez sen i objęła go ciepłem ramieniem. Jan uśmiechnął się.

Obudziły go podniesione głosy. Otwiera oczy. Widzi, że Pameli niema przy nim, a w pokoju jest jasno. Za oknami dzień. Jan podpiera głowę ręką. Z kuchni dochodzi ostry głos ciotki, przerywany szlochem i czyimś płaczem. Jan zrywa się i w długiej, niezgrabnej koszuli biegnie do drzwi.

— Jezu... i jakże to się stało — słyszy jękliwy głos żony.

W kuchni siedzą kobiety: ciotka Jula, Pamela i stróżka. Wszystkie mają otępiałe twarze i zaczerwienione oczy. Gdy Pamela widzi w drzwiach Jana podbiega ku niemu i zarzuca mu ręce na szyję.

— Zabili ojca — Janku — twojego ojca...

Jan czuje, jak krew odpływa mu z głowy i jak palce drętwieją. Nie może nic powiedzieć, tylko bezmyślnie poklepuje chlipiącą żonę. I jakby przez mgłę widzi pomarszczoną twarz tego starego, poczciwego człowieka — swego ojca...

* * *

Tak zostały zerwane ostatnie węzły krwi. Przez pewien czas nienawidził tych nieznanych ludzi, którzy wtargnęli nocą do stróżówki i zabili biednego staruszka, by spokojnie zabrać cudze mienie, którego pilnował.

Czas jednak mijał. Nienawiść przerodziła się w niezatartą plamę w wspomnieniach przeszłości. Jan miewał teraz tylko słodkie wizje dawnych czasów, smętek i chwilami pustkę wkoło siebie.

Bywało bowiem, że Pamela nie była dla niego najlepszą. Czasem grymasiła. Odtrącała go. Jana bolało to, a kiedy mu ciotka powiedziała, że kobiety w ciąży takie już są — poczuł się samotnym.

Jan był delikatny dla swej żony. Dogadzał jej, patrzył na nią z rozrzewnieniem. Ciotka Jula przychodziła często, bo Pamela źle sama się szuła. Jan rad był temu i często myślał, czemby się też ciotce wywdzięczyć, ale zły też był trochę, że tak go mało te kobiety potrzebują.

W dancingu był teraz Jan rozmowniejszy. Jak jeszcze gości nie było, lubiał pogadać z bufetową, albo kolegami. Więcej go wszystko w tem otoczeniu interesowało. A fordanserki? Nie lubił ich. Ale obserwował je chętnie. Może dawniej, przed ślubem były czemś w życiu Jana.

Jedna z nich ma na imię Ala. Fortancerka od miesiąca. Imię z elementarza. Miłe kobieciątko. Nawet Jan zimny i zakochany lubiał z nią gawędzić. Nie należała do kategorji tych dziewcząt, przy których usypia się jak nad nudną książką po przeczytaniu pierwszego rozdziału. Ala jest świeża, giętka w tańcu, młoda, coraz to inna, zajmująca, może niepotrzebnie inteligentna. Nie lubi pudro-

wać się na sali, usta ma pełne życia i obietnic.

Jan polubił Alę, ona zaś miała dla niego spojrzenia, których nie miał odwagi odgadywać. Kiedyś w zimny ranek wyszli razem z dancingu. Ona prosi, aby ją Jan odprowadził do domu. Jest bardzo zmęczona i zimno jej. Jan proponuje, aby wstąpić do baru na herbatę z rumem.

Zgadza się. W barze jest nawet loża w jakimś zakamarku. Ali jest cieplej — zdejmuje płaszcz. Cała jej rozrzutna natura pulsuje pod wiotkim jedwabiem wydekoltowanej sukni. Rozmawiają, a Jan czuje, że coś się w nim budzi. Ona patrzy na niego uważnie i głaszcze jego rękę. Zamawiają jakieś koniaki. Ala mówi coś cicho, dotykając gorącemi wargami jego ucha...

* * *

Jan idzie szybko, coraz szybciej. Spostrzega się — zwalnia. Stara się wytłumaczyć sobie dlaczego się to stało. Nazywa się łajdakiem i jest zbyt prosty, aby potrafić się przed sobą wytłumaczyć. Krople potu występują mu na czoło. Wyciąga chustkę, aby obetrzeć twarz i zalatuje go zapach jej perfum. Czuje, jak krew nabiega mu do głowy. Przystaje — wali się dłonią w twarz, opiera się o latarnię i zaczyna płakać. Myśli o Pameli, i coraz więcej łez ścieka na klapy płaszcza.

— Hej, jeśliście pijany, to radzę prędzej do domu — słyszy głos.

Odwraca się i widzi w mroku policjanta. Zaczyna się głupio usprawiedliwiać. Zawstydzony zmazuje łzy i idzie dalej. Jest już pod domem. Akurat otwiera zatrzask u drzwi kiedy jego kobiecina biedna i przerażona po ataku bóli, które przyszły tej nocy, brzydka w swem niedołęstwie i tuszy, usnęła nerwowym, płochliwym snem.

Janowi zdaje się, że czuje jodoform i nogi się pod nim uginają. Ale zapach rozwiewa się. Oprzytomniał. Porusza się cicho na palcach. Przeklina skrzypiące buty, jak skradający się morderca. Uchyla drzwi. Ciepły zapach sypialni uderza go w nozdrza. Jan idzie do kuchni, zdejmuje lakierki, krawat i nalewa sobie herbaty. Cedzi ją powoli przez zęby. Jest bardzo zmęczony i zdaje sobie sprawę, że to oczekiwanie tak nadszarpnęło jego nerwy. Chciałby, aby to już nareszcie nastąpiło. Myśli o wszystkiem Jan, żując skórkę chleba i naraz słyszy szmer i zaraz potem powietrze rozdziera krzyk.

— O Jezu!

Jan struchlał, szczęki znieruchomiały zaciśnięte na chlebie. Zrywa się i biegnie do sypialni. Dopada łóżka.

— Jestem Pamelu — jestem przy tobie, co ci?

Ale ona nie widzi go. Z pod przymkniętych powiek sączą się łzy. Jan wpatruje się z natężeniem w jej zastygłą w bólu twarz. Słyszy nad sobą głos:

— Janku, pobiegnij po dorożkę, to już...

Nawet nie spojrzał w twarz ciotki. Wybiega bez palta na schody. Kiedy po paru minutach wraca, słyszy poprzez drzwi krzyk Pameli. Ciotka ubiera wyrywającą się kobietę, wreszcie nawdziewa pantofle na obrzękłe nogi — naciska kapelusz.

Szofer jedzie ostrożnie. Każda nierówność bruku boli Jana i doprowadza go do obłędu.

Wydaje mu się, że ulice ciągną się w nieskończoność. Wreszcie portjer szpitalny otwiera bramę. Idą powoli długiemi, ciemnemi korytarzami. Schody. Ona zaciska zęby na wargach bladych bezkrwistych. Patrzy nieruchomo przed siebie.

Skrzypnęły szklane drzwi. O — już przyszła pielęgniarka. Bierze Pamelę pod rękę i prowadzi ją wgłąb. Jan słyszy daleki, przytłumiony okrzyk. Patrzy uparcie, bezmyślnie w drzwi, gdzie zniknęła jego żona.

— Idź, Janku, do domu, prześpij się — mówi ciotka. Ja tu zostanę. Popatrz, nie masz nawet krawatki — dodaje jeszcze i uśmiecha się...

* * *

Spał niespokojnie. O drugiej popołudniu wstaje pełen niepokoju i prędko się ubiera. Jeszcze nie wiedział co zrobić. Może pójść do szpitala dowiedzieć się jak tam jego Pamela? Ale prędko zdaje sobie sprawę, że może przeszkadzać doktorom i poza tem nie chce się wydać śmiesznym. Wreszcie po przełknięciu herbaty naciska kapelusz na czoło i wychodzi.

Długo błądził ulicami.. Wreszcie pod wieczór ośmielił się Jan zapytać w szpitalu o Pamelę. Jakaś pielęgniarka, przechodząc obok poznała go. Uśmiechnęła się.

— Ma pan ładnego chłopca. Ale teraz niech pan nam tu nie przeszkadza — rzuciła i odeszła.

Wieczorem Jan był dziwnie podniecony. Opowiedział to wszystkim kolegom. Zwierzył się szefowi. Ten wyciągnął pulchną rękę do Jana i rzekł:

— Sądzę, że wychowa go pan na uczciwego człowieka. Winszuję panu...

Kiedy Ala przyszła, bał się spojrzeć w jej stronę. Zaczerwienił się, gdy podeszła.

— Janku, jaka to szkoda, że nie mogę się cieszyć tak, jak ty — powiedziała.

Zrozumiał, że po tem wszystkiem musiało ją bardzo boleć, to jego szczęście. Obejrzał się wkoło i pocałował ją.

— Alu!... — wyszeptał tylko.

* * *

Doktór twierdził, że z dzieckiem trzeba jaknajwięcej na powietrzu przebywać. Zresztą Jan wiedział o tem, Tyle wózków codzień na ulicach mijał. Białe, granatowe, kremowe.

We wtorek wraca Jan wcześniej. W nocy nie wypił ani jednego kieliszka. O dziesiątej wstaje, goli się. Dowcipkuje nawet, ale Pamela jest jakaś rozdrażniona i niechętnie go na dzieńdobry całuje.

— Tobie dobrze! W kuchni o dziecku nawet nie wiesz — mówi.

Popatrzył na nią. Pamela ma ceglaste wypieki na policzkach. Jan jednak nie zwraca na to uwagi, ani na jej gderanie. Jest rzeźki.

— No, pójdziemy po ten wózek. Ciotka przy małym zostanie. Uwiniemy się prędko...

Wyszli. Wstępują do pierwszego sklepu. Pokazali im wózek ogromny, składany. Właściciel twierdzi, że wygodny, ze schowkiem na drobiazgi. Przestraszyli się, że będzie drogi. Ale gdzie tam! Kupiec dołoży z własnej kieszeni, aby tylko zadowolić klijentów. Okucia błyszczą, lakier lśni. I Jan kupuje wózek. Każe odesłać do domu.

Wyszli.

Aż stanęli przed wystawą z rowerami. Były też wózki. Ale cóż to? Taki sam biały, lśniący wózek, jak ich — tańszy? Wchodzą do magazynu. Wózek kosztuje o 20 złotych mniej, a kupiec z bocznej uliczki chętnie z własnej kieszeni dołoży, aby tylko klijenta zadowolić i jeszcze coś opuści.

Znowu są na ulicy. Pamela już oblicza, coby za te pieniądze dla dziecka można było kupić.

* * *

Przyszedł wieczorem do pracy w złym humorze. Ala kiwa na niego dyskretnie i wychodzi do bocznego korytarza, obok kuchni. Czeka tam na Jana. On jednak tkwi nieruchomo obok baru i myśli wciąż o wózku. Ala coś tam poprawia przy sukience — dwoma ruchami wygładza włosy i wraca. Siada przy stoliku i zdziwiona patrzy na Jana.

Tymczasem schodzą się goście. Już przyszedł ten blondynek, co siedzi tu prawie co wieczór. Widać kilku panów z prowincji. Przyjechali zabawić się. Rozpoczynają od koniaku. Wołają Jana.

— Prosimy panie do towarzystwa. Jak się bawić... — gdacze otyły jegomość.

Jan podchodzi ku fortancerkom i powtarza zaproszenie. Dziewczęta wstają leniwie i idą do swych nowych znajomych. Ale panom podoba się Ala, więc i ona jeszcze siada przy ich stole. Janowi wydaje się, że ogarnia go niepokój.

— Koniaku? — a może panie winka?...

— Proszę butelkę Barsaca — mówi dumnie facet z podkręconemi wąsikami, siedzący obok Ali.

Jan krząta się, naciska guziki kasy, oddaje bloczki. Jego panowie z prowincji są już pijani. Jan wnosi butelkę szampana i obraca ją długo w lodzie. Facet z wąsikami stał się agresywny i zdobywczy. Zerka na Alę, wkońcu nachyla się i szepce jej coś do ucha. Ona odsuwa się. Wąsiki stają się oburzone. Młokos krzyczy:

— Cóż to! — za czyje pieniądze bawisz się panienko?

Wtedy Ala chce wstać, ale pan z wąsikami chwyta ją za rękę i przyciska ku sobie. Ala wyrywa się i wtedy on wali ją w twarz z całej siły. Ala patrzy najpierw na niego, potem na Jana i wielkie łzy spływają jej po policzkach. Wolno odchodzi od stołu.

Długo jej szukał. Wreszcie znalazł skurczoną i płaczącą za garderobą. Podszedł do niej, pogłaskał po głowie.

— I ty, Janku, pozwoliłeś na to? — zapyła.

— Tak, Alu, to goście... — i pokazał jej przez uchylone drzwi roześmianego gospodarza, jak kłaniał się bawiącym się głośno gościom z prowincji.

* * *

Jest piękny dzień niedzielny. Już dawno Jan postanowił z Pamelą, że wybiorą się za miasto na spacer.

O drugiej wychodzą z domu, sprawdzając zatrzask. Ulica jest cicha i wyludniona. Jan idzie obok żony, która popycha wózek. Minęli wąskie, duszne ulice. Droga prowadzi przez cienistą aleję — potem polem. Mijają kilka podmiejskich kawiarń z tarasami.

Postanowili zatrzymać się obok płotu, okalającego jedną z restauracyj. Ziemia wysłana była zeschłemi, brunatnemi igłami sosny. Wkoło piętrzyły się pachnące żywicą pnie. Z tarasu kawiarni dolatywała muzyka.

Pamela odwróciła wózek budą do słońca, by dziecko się nie obudziło i zajęła się rozpakowaniem koszyka. Wyjęła butelkę, wkręciła korkociąg i starała się otworzyć piwo. Nagle skurczyła się, chwyciła chustkę, przycisnęła ją do ust i zaczęła kaszleć. Jan spojrzał na Pamelę. Już dawno niepokoił go ten kaszel. Najpierw niecierpliwił, potem męczył. Teraz przeczuł jasno zbliżające się niebezpieczeństwo. Kaszel nie ustępował. Jan wstał, objął skuloną postać żony. Starał się ją uspokoić. Gdy odjęła chustkę od ust zauważył, że była lekko zaróżowiona.

* * *

Długo badali ją lekarze. Było konsyljum. Jan za drzwiami struchlały wysłuchiwał szmerów i dolatujących słów. Wreszcie drzwi otworzyły się. Jan dowiedział się, że to nic groźnego, ale trzeba leczyć odrazu, bo choroba płuc może szybko zniszczyć życie.

Jan przemyślał długo i starannie, jak wszystko urządzić i co z dzieckiem zrobić. Wreszcie z ciotką postanowił, że ona chłopcem się zajmie. Pamela zaś wyjedzie.

Odprowadzili ją na dworzec. Była blada, bardzo zdenerwowana. Gdy trzeba było wsiadać do wagonu, rzuciła się Jankowi na szyję i zapłakała.

— Janku, ja już stamtąd nie wrócę!

— Ależ, Pamelu, jedziesz przecież po zdrowie. Nasz chłopak czeka na ciebie. Musisz być zdrową!

Z trudem rozstali się. Ciotka Jula usadowiła Pamelę w przedziale i zapewniła, że o dziecku wszystko donosić będzie. Pociąg ruszył...

* * *

W dancingu zaczęło się coś psuć. Ktoś tam podsłuchał rozmowę szefa z jakiemiś ludźmi. Mówiono podobno o likwidacji interesu. W tydzień potem Ala opowiedziała Janowi, że szef nie płaci regularnie dziewczętom. I rzeczywiście, w połowie miesiąca lokal zamknięto. Ala dostała jakieś zajęcie w stolicy, w dużym dancingu i zapakowała manatki. Jan chodził po mieście. Wypytywał się, starał o nową pracę, ale jakoś nic nie mógł znaleźć.

Któregoś dnia wieczorem odprowadził Alę na dworzec. W przeddzień obiecano mu sezonową pracę w letniej restauracji za miastem.

— A jakbyś, Janku, nie mógł sobie dać rady, mówiła Ala, stojąc na peronie, to ja ci się o coś wystaram. Zawsze w większem

mieście — większe możliwości. Napiszę do ciebie na poste-restante. Będę często pisywać.

Jan nic nie odpowiada. Wszystko w tym dniu wydaje mu się szare i niepotrzebne.

— Janku, ja nigdy nie zapomnę... — szepcze naraz — i oczy jej błyszczą.

Jan chwycił jej rękę i mocno ucałował.

— Dowidzenia ci, Alu — mówił szybko, zdejmując kapelusz i prawie biegnie do schodów tunelu.

Ala patrzy za nim, potem wolno wchodzi do wagonu...

* * *

Zaraz drugiego dnia po powrocie Pameli z sanatorjum — poszli do kina. Pamela dobrze wyglądała, bardzo była ożywiona. I Jan był jakoś lepszej myśli.

Zbliżała się jesień. Drzewa na ulicach były złote. Słońce oziębło. Jan dowiedział się, że jego stara buda ma nowego właściciela i ma być znów otwarta.

Nowy szef zaangażował Jana. Zresztą prawie cały personal pozostał ten sam.

— No, Pamelu, zdaje się, że idziemy ku lepszemu — powiada Jan do swej żony, kiedy usiedli w krzesłach na sali kinowej.

Nie odpowiedziała, tylko rękę jego mocno uścisnęła.

Minął miesiąc. Zaczęło popadywać. Niebo zasnuło się ołowianemi chmurami. Jan od dwóch tygodni pracował już w dancingu. Zarabiał znowu lepiej. Nawet już trochę z długów się wygrzebał. Nie wychodzi teraz nigdzie. Cieszy się zdrowiem swej żony i swym synem. Straszny łobuz z tego małego!

Ciotka Julja przychodzi codzień i pomaga Pameli w gospodarstwie. Dobra kobiecina nie łatwe ma życie — a tyle potarfi mieć jeszcze humoru i radości dla Pameli.

Tak mija tydzień za tygodniem. Aż któregoś dnia Pamela czuje się znowu gorzej. Leży w łóżku. Ma temperaturę. Niewiadomo nawet, gdzie się zaziębiła. Doktór mówi, że to zapalenie oskrzeli, ale Pamela kaszle coraz silniej i coraz bardziej jest osłabioną. Jan jest przerażony, a i ciotka coraz trudniej zdobywa się na uśmiech.

Pierwszy listopada. Dancing ma duże powodzenie i Jan wraca do domu codzień nad ranem. Czułby się dobrze, bo finansowo coraz lepiej mu się powodzi, ale ciągła troska o żonę targa nerwy.

Przed dwoma dniami przyjechała ze stolicy Ala. Drżała ze zdenerwowania, gdy miała zobaczyć się z Janem. On zaś o jej przyjeździe nie wiedział. Wszedł, jak zawsze, do kuchni — a tu stoi sobie ona — Ala — przy kasie i patrzy na niego. Przywitał się z nią serdecznie. — Obiecała, że mu wiele rzeczy opowiedzieć. Jan przyglądał się jej uważnie. Coś się w niej zmieniło. Kąciki ust opadły, nadając twarzy obcy wyraz. Oczy podkrążone ciemno.

* * *

Pamela przebyła chorobę, ale bardzo była osłabiona. Lekarz kazał jej wyjechać i przeprowadzić skrupulatną kurację. Pogoda jesienna w mglistem mieście nie nadawała się dla rekonwalescentki. Lekarz jakoś śpiesznie wydawał swe polecenia i bacznie przyglądał się Pameli, gdy pokasływała. Na odchodnem jeszcze raz zalecił pośpiech.

* * *

Jan oparł się o bar i rozerwał kopertę listu. Nie miał czasu przeczytać go w domu. Pamela, która od paru tygodni przebywała w sanatorjum w górach, pisała chybotliwem, krzywem pismem, że bardzo się nią opiekują i są dla niej dobrzy. Po tysiąc razy całowała w liście swego syna.

Tego wieczoru dużo było w lokalu roboty. Jan nałatał się, nogi go bolały i czuł się zupełni wyczerpany, kiedy o piątej zamykano dancing. Ubrał się i wyszedł na ulicę. Dogoniła go Ala.

— Wiesz co Alu — powiedział — chodźmy napić się czegoś. Tak boję się dziś samotności...

Wzięła go pod rękę i mocno przycisnęła się do niego.

W „Zorzy" usiedli na wygodnej kanapie. Piją kieliszek po kieliszku w milczeniu. Ala jest roztargniona — wreszcie mówi.

— Janku, muszę ci wszystko opowiedzieć...

I mówi, jak tam było w tym dancingu w stolicy. Maluje swe życie szerokiemi pociągnięciami od niechcenia, zdawkowemi określeniami. Opowiada, że płacili dobrze, ale co noc trzeba było pić. A na procentach zarząd oszukiwał. Odłożyła sobie trochę pieniędzy, ale wszystko poszło... Najgorsze były te rozstania z pijanymi gośćmi.

— Janku, ja tam już nigdy nie chcę wrócić — wybucha naraz Ala.

— Dlaczego Alu? — co się stało?... Patrzy na nią zdziwiony.

— Janku — zawahała się — ja jestem chora, strasznie chora i nie mam już pieniędzy, ani sił, aby skończyć z tem...

Pochyliła głowę na stół i zaczęła płakać.

* * *

Jan myślał. Ileż trzeba mieć pieniędzy, aby udowodnić swe prawo do życia?

Tani, ścienny zegar zaszurał trybami, potem zaczął śpiesznie wybijać godzinę.

* * *

(Długie, poważne gongi znaczyły czas. Uchyliły się drzwi i do pokoju wbiegł pies. Obwąchał fotel, potem nogi człowieka, który siedział przed kominem i spojrzał na płonący ogień. Potem lekko szarpnął zębami koniec szlafroka swego pana.

Siwy bankier otworzył oczy. Przeciągnął ręką po czole. Na palcach błyszczały wielkie brylanty w pierścieniu. Zadzwonił. Do pokoju wszedł lokaj, stanął za fotelem sparaliżowanego i pchnął go na kółkach w stronę jadalni, w której nikt nie czekał przy bogato zastawionym stole.

* * *

(Leżeli na wielkim, miękkim tapczanie.

— Dlaczego mówisz mi ciągle przykre rzeczy — powiedziała dziewczyna.

— Myślisz się, ja tylko cię obserwuję — odpowiedział.

— Jesteś nieszczery...

— To ty nią jesteś. — Ja mówię głośno o rzeczach, o których myślę.

— I robisz mi przykrość...

— Tak — i to właśnie pociąga cię do mnie...

Zamilkli.

— Już ósma — powiedziała dziewczyna, patrząc na zegarek, aby przerwać ciszę).

* * *

Zegar uderzył po raz ósmy i zamilkł z szelestem. Potem tylko tykanie. Ktoś zapukał. Jan wstał i otworzył drzwi. Listonosz przyniósł depeszę. Jan wrócił do kuchni i usiadł na dawnem miejscu. Nawet nie otwierał telegramu. Biały papier tkwił w jego zimnych rękach. Jan wiedział, co przynosi.

Usłyszał, jak w pokoju obok zapłakało dziecko.

KONIEC

W KRAJU SMOLKI I GOŁUCHOWSKIEGO



Po lewej: Siedziba Smolki w Dolhem jest typowym dworem staropolskim.



W kole: Oto jeden z najpiękniejszych zakątków Morszyna: stary szpaler grabowy.

Rzadko która połać kraju przez cały przeciąg historji była wystawiona na tyle niebezpieczeństw, co ziemia czerwieńska. Przewalały się przez nią najdziksze ordy paląc i niszcząc, tylko gruzy zostawiając i zryła kopytami zwierząt ziemię, kwitnącą dawniej dostatkami, najeżoną obronnemi zameczkami i malowniczo rozłożonemi osadami.

Aby przeciwstawić się napadom Tatarów czy Turków, budowano szereg twierdz, bo prawie każda siedziba wybitniejszego rodu była przystosowana do obrony. Stąd też wielka ilość śladów po fortyfikacjach i zamczyskach, czasem już ledwie widocznych, albo żyjących jedynie w ustach gminu.

Chcąc więc odczytać przeszłość danej okolicy ,trzeba wejść w kontakt z wsią lub miasteczkiem, z najstarszymi jego przedstawicielami, poszukać wreszcie w aktach dworskich lub cerkiewnych, o ile takowe nie poginęły. Opowieści będą często fantastyczne, znacznie od rzeczywistości odbiegające, ale zawsze znaleźć w nich można ziarno prawdy. Dokumenty zaś, jeśli się je zdoła zdobyć, przedstawiają ogromną wartość, a często są bardzo oryginalnej treści, dla nas zaprawionej nawet humorem.

I tak we wsi Zaderewacz w okolicy Żurawna n. Dniestrm, istniał kiedyś obronny zameczek Cieciszowskich, który uległ zagładzie dzięki swarom rodzinnym i w konsekwencji ich wynikłemu zajazdowi. Burdy były charakterystyczne dla biorącego w nich udział rodu Stadnickich, najbliższych potomków „Djabła łańcuckiego". — Wydarzenia owe znalazły pewne odbicie u ludności, która w sposób tradycyjny przekazywała swe wspomnienia z pokolenia na pokolenie.

Ciekawy jest znaleziony w tamtejszej cerkwi dokument z 1762 roku, mocą którego ówczesny właściciel Zaderewacza Do-

minik Dzieduszycki przenosi parafję z tej wsi do Zaderewackiej Woli i nadaje ją ks. Michałowi Trembickiemu. Brzmi on: „Nadaję prezentę ks. Michałowi Tembickiemu, uczciwemu i pobożnemu kapłanowi z tem prawem, że dwa dni przed prażnikiem ma kurzyć sobie wódkę w mojej gorzelni". — Następuje podpis Dzieduszyckiego i pieczątka. Nadanie więc to należy chyba do najbardziej oryginalnych, pozwalających w znacznej mierze rozumieć ducha epoki ośmnastego wieku.

Zaderewacz po burzliwej przeszłości za Cieciszowskich schodził do rzędu nic nie znaczących miejscowości, aż wreszcie wskutek zamiany ze skarbem państwa przeszedł od Dieduszyckich do rządu i przestał istnieć jako szlachecka siedziba.

W ten lub podobny sposób dawne pomniki chwały ludzkiej lub pychy przemieniały się w gruzy, czy też zupełnie znikały z horyzontu. Ale jak zawsze w naturze bywa — na ruinach poprzedniego życia powstawało nowe: legenda. coraz bujniejsze przyoblekająca kształty lub nowa, realna rzeczywistość! I przyszły inne czasy, inne prądy i dążności, aby za lat kilkadziesiąt czy kilkaset — stać się tylko materjałem dla historji.

W tej samej okolicy, choć w czasach znacznie późniejszych żyli dwaj wielcy polscy dyplomaci i mężowie stanu, zasłużeni dla narodu patrjoci: Franciszek Smolka i Agenor hr. Gołuchowski.

W skład dóbr pierwszego z wymienionych wchodziły: Dołhe, Morszyn i Korczyn. W Dołhem, gdzie najchętniej spędzał Smolka czas wolny od pracy państwowej, znajduje się stary, dębowy dworek polski z podjazdem, ozdobionym kolumnadą — dawna jego rezydencja. Za czasów twórcy kopca Unji lubelskiej prowadziła doń przepiękna aleja topolowa, lecz tę wycięli późniejsi właściciele Dołhego Godlewscy, ponieważ zacieniała i wysuszała znaczny obszar gruntów. Obecnie dom, robiący nadal niesłychanie miłe wrażenie ciepła i przytulności, jest wewnętrznie bardzo zniszczony przez grzyb i niezamieszkały. W każdym razie p. Szyjkowskiemu, teraźniejszemu właścicielowi majątku należy się uznanie za chęć ratowania pamiątki po jednym z najlepszych synów Ojczyzny.

W morszyńskim dworze nie można nic już znaleźć godnego uwagi. Zmodernizowany ostatnio i zmniejszony jeno grubością murów i wąskiemi oknami mówi o swej sędziwości. Po Smolce zostały lipy sadzone przez niego i garść wspomnień. Oprócz bowiem wiekowej alei wjazdowej z figurą św. Florjana noszącą napis A. P. 1832 — znajduje się tam także szpaler grabowy, który specjalnie zapisał się w pamięci jednego z synów Smolki — Stanisława. Późniejszego uczonego i profesora uniwersytetu warszawskiego starał się ojciec hartować w męstwie od najwcześniejszych lat. Nieraz, bawiąc z chłopcem w ogrodzie na spacerze, zostawiał w najbardziej oddalonym kącie scyzoryk i wracał spokojnie do domu. Gdy zaś ściemniło się, prosił malca o odszukanie noża, zapomnianego u wylotu alei — nad strumykiem. Staś nie przyznawał się do trwogi, która mu może łaskotała krzyże i spełniał wolę rodzica, mając radosną twarz, gdy ze zgubą wracał do jasno oświetlonego pokoju, wyrwawszy się tajemniczym mackom i sz[illegible]om ciemności. Nie wiedział, że jak dobry duch posuwał się za nim ktoś mu bliski, szarpiąc czasem zlekka dużego wąsa.

W Korczynie Smolka bywał najmniej, ale tam właśnie zawarł śluby małżeńskie ze swą ukochaną towarzyszką życia.

— — — — — — — — — —

Pałac w Łowczycach, które od wieków są w posiadanu hr. Gołuchowskich (tylko chwilowo należał do hr. Starzeńskich po jednej z Gołuchowskich, która była za Starzeńskim) — jest położony w przepięknym parku. Można tam spotkać pyszne drzewa magnoljowe, palmowe, bajecznie piękne krzewy azalij i róż. Latem wynosi się do ogrodu i stawia na postumentach marmurowe posągi, co podnosi piękno i malowniczość otoczenia. Najlepiej wygląda dom, pochodzący z końca XIX wieku z za sadzawki kąpiącej w swej kryształowej wodzie warkocze płaczących wierzb. Złożony z dwóch piętrowych kondygnacyj, połączonych trzecią parterową, nie posiada w swym charakterze nic polskiego. Jest raczej w stylu górskich tyrolskich pałacyków. Tylko herby wyrzeźbione na frontonie mówią o przynależności gmachu do starej polskiej rodziny.

Wnętrze zostało po wojnie urządzone z różnych niedobitków — jak to zwykle na Kresach. Wartościowe zbiory bibljoteczne uległy takiemu przerzedzeniu, że np. z kilkunastotomowego dzieła zostało tylko kilka. Ale hr. Gołuchowscy za bardzo czują się Polakami, strażnikami Rubieży z woli Bożej i królewskiej, aby poddawali się rezygnacji czy apatji. Przeciwnie, na każdym kroku widać staranie o zatarcie wszelkich śladów dewastacji i kontynuowanie tego, co w przeszłości było pięknem.

W pobliżu znajduje się miasteczko Ruda. Właściwie obecnie jest to mała nawet wieś, ale ze względu na dawne tradycje używa tytułu gminy miejskiej. Od czasów swego założenia posiadała Ruda fort obronny, na miejscu którego stoi obecnie nowy dwór. Bardzo wyraźnie rysuje się wzgórek, otoczony szerokim rowem, dawniej pełnym wody, przez który prowadził zwodzony most. Z czasów, gdy Ruda należała do Wyhowskich, pozostało tam pięć dębów zasadzonych w krzyż na miejscu katolickiej kapliczki. Niedawno jedno drzewo spowodu starości musiano usunąć, ale pozostałe trzymają się bardzo krzepko, mając po pięć metrów obwodu. Godną uwagi jest oficyna w typowym polskim stylu, licząca ponad sto lat. Dom mieszkalny jest zupełnie nowy i bez charakteru. Za to wnętrze wygląda jak muzeum. Można więc oglądać portrety rodzinne Pietruskich, którzy byli ostatnimi właścicielami Rudy, ich zbroje, misternie rzeźbione sprzęty, szafy gdańskie, księgozbiór wreszcie. Od r. 1890 jest Ruda fundacją im. Pietruskich, która utrzymuje ochronkę, ośrodek leczniczy i wypłaca stypendja członkom biednych rodzin miasteczka. Jest więc fundacją, która daje dochody! Vivant sequentes!

Ksawery Niedobitowski.



Obok: Przeszło stuletnia oficyna dworska w Rudzie o charakterystycznej budowie.



Po lewej: Pałac hr. Gołuchowskich w Łowczycach.
Wszystkie zdjęcia Ksawerego Niedobitowskiego — Morszyn.



Na prawo: Wspaniała aleja wjazdowa w Morszynie.

SPOJRZENIE
Urocza artystka filmowa SIMONE SIMON
Fot. „20-th Century Fox"



IKAROWE LOSY...

Miljony kucharek, pań domu irytowało się przez tysiące lat na wybiegające mleko, gotujące się wodę i... kończyło się na irytacji! Aż wreszcie spojrzał na ten fakt uważnie sympatyczny młodzieniec Papin i wkrótce potem oblicze świata zostało przekształcone. Papin patrzał, ale patrząc, zrozumiał co widzi: parę podnoszącą pokrywkę. Wysnuł z tego wniosek, że para może wykonywać pracę.

Genjusz ludzki przez to otwarte okienko przedostał się na całe olbrzymie pole wiedzy. Maszyny parowe, pralnie mechaniczne, centralne ogrzewanie, suszarnie i tyle innych działów, to owoc tej „próżniaczej" chwili przed gotującym się kociołkiem.

Ileż miljonów ludzi widziało już wahające się na sznurze świeczniki, ale dopiero Galileusz w pizańskiej katedrze wysnuł z tego prawa, zachodzące między czasem a szybkością spadających ciał, on dopiero powiedział, że ciała nie dlatego spadają coraz prędzej, bo powietrze za niemi zamyka się i spycha je na dół, jak chcieli perypatetycy, lecz, że przyciąganie ziemskie, działające jednostajnie, nadaje spadającemu ciału przyspieszenie około 110 m na sekundę. W pewnej fabryce angielskiej postawiono przy maszynie parowej młodego chłopca i powierzono mu „trudne" zajęcie otwierania i zamykania kurków od pary. Chłopiec był leniem, koledzy grali wesoło w guziki, a on musiał ślęczyć! Przypatrzył się uważnie maszynie, pomyślał chwilę, połączył sznurkami odpowiednio kurki i... przyłączył się do guzikowej partji, a maszyna sama tymczasem załatwiała sterowanie pary. Taki był początek samodzielnej maszyny, nie potrzebującej ciągłego pilnowania. Nie wynika z tego wprawdzie, że każdy leń pchnie na nowe tory technikę!

W innej znów fabryce — papierni — zaszła straszna awantura: masę papierową źle przyrządzono i wyszły z maszyny zamiast papieru, jakieś arkusze gąbczaste, poprostu do niczego. „Cały ładunek wyrzucić do składu" grzmi dyrektor. Wkrótce potem arkusze „wyjeżdżają" spowrotem, już z honorami, bo okazało się, że zastępują cudownie piasek i dzięki temu przypadkowi mamy bibułę.

Przypadek, otwarty umysł, przebłysk genjuszu — jakże często dają ludzkości rzeczy o których się nawet nie przypuszcza, że ich kiedyś mogo nie być. Ba, omyłka może być też przyczyną wynalazku. Przesądni mogli myśleć, że w hali maszyn straszy. Stały sobie takie maszyny do wytwarzania elektryczności — dynama. Wiadomo, dynama trzeba czemś poruszać, żeby dały prąd. Tymczasem jakaś z nich zwarjowała nagle i sama zaczęła „iść". Co się stało! Nieuważny robotnik pomylił się, źle połączył druty i przez ten wypadek świat otrzymał elektromotor.

Jako przykład genialnego wynalazku podałbym zatrzask błyskawiczny. Ktoś z początku bezmyślnie — zgięte palce obu rąk złożył i zauważył, że zgrubienia przegubów cudownie wpadają w wklęsłości stawów palcowych. Samozamykający się zatrzask, bez którego trudno wyobrazić sobie ekwipunek sportowy, był w zasadzie gotów.

Nie wszystkie wynalazki powstają łatwo. Edison — chyba największy wynalazca i posiadacz ogromnej masy patentów, — powiedział, że ³/₄ składowej każdego wynalazku to praca i wytrwałość, a drobną część stanowi geniusz. Edison sam pracował niczem wół roboczy.

Jakiż z tego można wysnuć wniosek? Czy da się stworzyć receptę na wynalazcę? Zpewnością nie. W każdym razie 2 rzeczy są konieczne: otwarta głowa i logiczne myślenie. Trzeba umieć patrzeć: miljony ludzi miało na biurku ołówek i gumę do wycierania. Irytowało ich, że guma gdzieś się zarzuciła aż przyszedł taki sprytny Amerykanin co powiedział sobie: „Poco ma jedno drugie gonić, złączmy je w jedną całość". Zrobił ołówek z gumką na końcu i... zebrał setki tysięcy dolarów Działo się to w 1858 r., a sprytny Amerykanin to Hyman L. Lipman.

Singer musiał początkowo pożyczyć sobie dol. 40.— na zrobienie modelu maszyny do szycia, potem zato jego dochód roczny wahał się około dol. 3.000.000.—. Na zastąpieniu korka gumką przyciskaną drutami, jak to widzimy na butelkach z wodą mineralną, wynalazca zarobił dol. 15.000.000.—. W Baltimore znów narodził się taki co wynalazł zamykanie flaszek



Gallileo Gallilei, wielki astronom włoski.

metalową kapką — i dorobił się fortuny na takiem, zdawałoby się głupstwie. Między wynalazcami widzimy też króla Jerzego V. Zarobił on na ulepszeniu paleniska domowego dol. 23.000.—. Szklanny wyciskacz do cytryny przyniósł wynalazcy dol. 50.000.—. Niejaki pan E. Howe umieścił dziurkę w igle nie u góry, tylko u dołu i to przesunięcie przyniosło mu dol. 1.200.000.—.

A ten spostrzegawczy pan, który pierwszy zauważył tak pospolitą rzecz, jak nierównomierne ścinanie obcasów. Zauważył i zaradził przez wynalezienie małych blaszek umocowanych na obcasie tam, gdzie się go ściera. Rezultat? — miljonowy majątek.

Wogóle, jeżeli się chce zrobić pieniądze to musi się wynaleść rzecz codziennego użytku, a w każdym razie nie powinno się swojemi pomysłami wchodzić w drogę jakimś potężnym koncernom, gdyż te potrafią bronić swoich interesów i są silniejsze od zwykle nieporadnego wynalazcy.

W Lyonie żył sobie papa Jacquard, który miał zdolnego syna. Synalek wciąż coś majstrował. Napoleon właśnie prowadził ekonomiczną wojnę z Anglją i między innemi ogłosił grubszą nagrodę za wynalezienie mechanicznego warsztatu tkackiego. Ojciec przy herbacie czyta gazetę, zauważa ogłoszenie, i daje je synowi. „Patrz, to coś dla ciebie". Synek przeczytał, wziął gazetę, kłębek lnu, zamknął się w swoim pokoju i — w krótkim czasie skonstruował warsztat zapoczątkowujący

Poniżej: Tomasz Alva Edison, jeden z największych wynalazców ostatnich czasów.



najtrudniejszy dział mechaniki — maszyny tkackie. A czy życie wynalazcy poszło jak po maśle? O nie! Napoleon pojechał na „odpoczynek" na wyspę św. Heleny, francuski rząd powiedział, że nie ma pieniędzy, a Manchester, Łódź etc. zupełnie nie troszczą się o to, że byt swój i fortunę zbudowali na niezapłaconym wynalazku.

Typowy przykład nieuzasadnionej negacji to lotnictwo: wszystkie uczone głowy orzekły jednomyślnie, że coś cięższego od powietrza nie może latać i koniec. Ale dlaczego? Przecież ptaki latają dłużej niż ludzkość. Przecież huragany porywały dachy domów też od wieków. „Nie wolno" i koniec! Kto się tem zajmuje jest warjatem!

Naprożno Leonardo da Vinci zaczął studjować lot ptaków. Naprożno zginął skazany przez srogiego cara chłop który pierwszy skoczył uzbrojony w skrzydła z dachu domu i wylądował szczęśliwie na ziemi. (Wiadomo, niewolnikom nie wolno latać!) Dopiero Lilienthal zauważył, że rozwieszona na sznurku bielizna unosi się pod podmuchem wiatru i zaczął konstruować swoje ślizgowce, jak również niesłusznie zapomniany Austrjak Kress. — Wiele się nacierpiał nim ludzie uwierzyli, że nietylko okręt, ale i aeroplan może ciągnąć śruba! Odniósł wprawdzie triumf, gdy uczonemu gronu puścił ponad spłowiałe peruki przesądów model aeroplanu popędzany skręconą gumą. Miał też tę satysfakcję, że głowy podniosły się ku górze i nieinteligentnie speszonym wyrazem, ledwo wierząc swym oczom, śledziły pierwszy oficjalny lot maszyny cięższej od powietrza.

Wynalazca, który poświęcił idei karjerę, — umarł mimo wszystko, w biedzie i zapoznany, zapomniany. Dopiero Wrightowie zaczęli zbierać laury. Nikt nie jest prorokiem...

Bądźmy jednak sprawiedliwi dla logiki faktów: lotnictwo mogło rozwinąć się tylko równolegle z postępem budowy lekkich motorów. Już Juljusz Verne zapytany przez reporterów powiedział: „Owszem, wierzę w lot mechaniczny, ale dopiero wtedy, gdy siła 1 konia będzie zmieszczona w zegarku, t. zn. gdy zbudujemy motor odpowiednio lekki". Drugie — to teorja — aerodynamika też musiała pójść naprzód i z badań laboratoryjnych wykrystalizować się w formułkach.

A czy można sobie wyobrazić biuro bez maszyny do pisania? Wynalazcą „oficjalnym" jest Underwood — ale właściwie również pewien Austrjak, który ze swego wynalazku, oprócz uznania cesarza, nic nie miał prócz rozczarowań.

Chyba nie ma człowieka, któryby się nie kąpał. A jednak trzeba było aż Archimedesa, by zauważyć, że ciało jest w wodzie lżejszem. I znów 2000 lat upłynęło, nim z tego prawa wyciągnięto logiczny wniosek i skonstruowano łódź podwodną. Co to musiało być za wrażenie, gdy w 1773 r. ręcznie poruszana łódź podwodna Bucknela w wodach koło New-Yorku zaatakowała angielską fregatę, chcąc jej pod wodą przymocować minę!

Ciekawem też jest, że ludzie genialni nie mają często wyczucia wagi wynalazku. Przykładem jest Napoleon I, który, zdawałoby się, powinien był mieć otwarty umysł dla wynalazków. A jednak nie chciał zająć się pomysłem Foultona — budową parostatków. Ironja losu tylko chciała, że jednocześnie jak odpływał statek wiozący go na św. Helenę, manewrował właśnie statek Foultona. Zadumał się wtedy cesarz i uprzytomnił sobie, że inaczej by wyglądał jego stosunek do Anglji, gdyby posiadał flotę statków niezależnych od wiatru.

Albo Westinghouse? Gdy przyszedł do potentata kolejowego z projektem swych hamulców, Harriman potraktował go jak warjata: „Co, pan chcesz zatrzymać pociąg w biegu!!" — I obok człowieka, który zżył się z kolejnictwem i który je rozbudował, przeszedł wynalazek, może najważniejszy w dziejach parowej komunikacji.

Dalekiem jest mi zachęcanie wynalazców do uporu, t. zn. niesłuchania oceny ludzi fachowych. Tak — prawda jest, że na posiedzeniu Akademji w Paryżu wyśmiano fonograf, jako sztuczkę brzuchomówcy, że swojego czasu „uczona" broszurka udowadniała niemożliwość jazdy na rowerze. Ale też i faktem jest, że słuchanie rady ochroniło wielu pseudowynalazców przed zmartwieniami, stratami pieniężnemi, a nawet domem obłąkanych.

(Dokończenie na str. 31-ej).

ODBICIA
ODBICIA



Powyżej: Jedyne zwierciadło wspaniałego leoparda.





Powyżej: Domki weneckie i wieże odbijają się w szarych wodach kanału... Po lewej: Sobowtór drapacza chmur powstaje na dużej szybie wystawowej w Wabash Avenue, Chicago.

Gdy legendarny Narcyz stwierdził ponad wszelką pewność, że to co widzi w wodzie jest odbiciem jego twarzy, wysoce się ucieszył i coraz częściej szukał siebie w wodnej toni. Pomimo upływu tysiąleci wnukowie jego postępują jota w jotę tak samo: staramy się siebie „odnaleźć" i zawsze z równą ciekawością oglądamy sobie. Byłoby złośliwością twierdzić, że odnosi się to tylko do kobiet: właściwość ta jest ludzka, nader ludzka i właściwa nam wszystkim.

Lustrzane odbicie czyni nas bardziej pewnymi siebie, i bardziej ...ywymi. Jest to przecież nasze optyczne echo, a wiemy skądinąd, że w życiu szuka się zawsze echa, czyli zrozumienia, odpowiedzi na własne słowa. W ciągu życia naszego z różnymi spotykamy się lustrami: dopiero niektóre z nich pouczają nas o naszej urodzie, gdy inne, podobnie jak fatalny obraz Doriana Grey'a, wykazują naszą przeszłość, nasze złe i słabe strony. Ale mimo wszystko, mimo całe niebezpieczeństwo zwierciadła dla naszego spokoju, ciągnie nas ono jak tajemnicze zaklęcie. Urokowi temu ulegają wszystkie żywe stworzenia, przypuszczałbym nawet że i martwe przedmioty, domy, meble, latarnie na ulicy lubią się przeglądać w lustrach, które im nastręcza natura: głębinie wodnej, szybie, lśniącym od deszczu asfalcie... Dla człowieka najpiękniejszem zwierciadłem pozostaną jednak... oczy ukochanej kobiety...

John.



Po prawej: Całe miasto odbija się w latarni samochodowej.

Wszystkie zdjęcia DELIUS — PARIS.



Wielokrotny pocałunek — Nancy Carroll i Frank Morgan.

Wędrówka znicza olimpijskiego



Po lewej: Znicz na stadjonie olimpijskim w Berlinie.



Praga z zamkiem hradczańskim.



Parlament w Wiedniu.



Chmury nad Olimpem.



Rozniecanie znicza.

Po raz pierwszy w historji nowożytnych Igrzysk Olimpijskich zorganizowali Niemcy w tym roku ciekawą, na olbrzymią miarę zakrojoną imprezę: bieg sztafetowy z ogniem olimpijskim od miejsca starożytnych Olimpjad do Berlina. Bieg poprzez siedem krajów, na przestrzeni 3.075 km.

Najdłuższy etap sztafety przypada na Grecję. Po uroczystości zapalenia od soczewki pochodni olimpijskiej w świętej ongiś Olimpji, prowadzi trasa sztafety poprzez niezwykle malownicze górskie okolice i typowe greckie przełęcze. Za miejscowością Murgia musiano w tym celu zbudować specjalnie odcinek szosy, ponieważ dotychczas można było przedostać się tam tylko na mułach.

Poprzez Ateny, Teby i Delfy prowadziła droga sztafety przez Lamię i Termopile do Tessalji i Salonik. Sztafeta zatrzymała się w Delfach między świątynią Apolla i Ateny, poczem po krótkiej uroczystości podążyła dalej ku granicy grecko-bułgarskiej.

Trasa sztafety z ogniem olimpijskim przebiegała następnie przez dzikie wzgórza macedońskie do Sofji i zanim dotarła do granicy jugosłowiańskiej, musiała przejść jeszcze raz przez niezwykle stromą przełęcz górską między Dragomanem a Carybrodem.

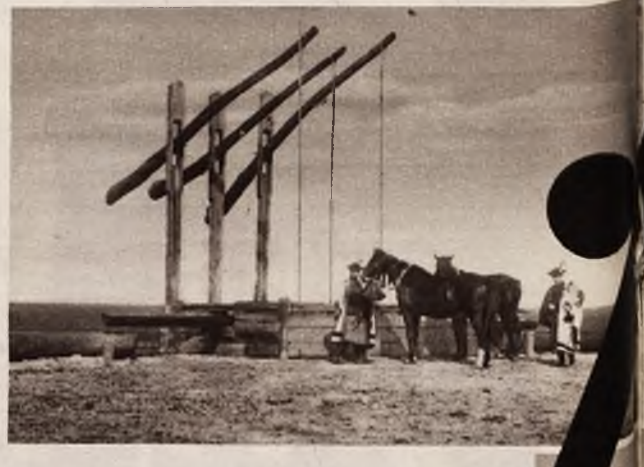
Najbardziej wzruszającym momentem na terenie Jugosławji było zaświecenie jednej pochodni na grobie tragicznie zmarłego króla Aleksandra. Młodziutki król jugosłowiański zadokumentował w ten symboliczny sposób łączność olimpijskiej idei pokoju i równości wszystkich narodów z zasadami głoszonemi przez jego ojca.

W Jugosławji zgasła, zresztą niespodziewanie, pochodnia. W każdym kraju przebiegali poszczególni biegacze odcinek jednego kilometra, poczem oddawali pochodnię z ogniem następnemu towarzyszowi. Gdy w mieścinie Paracin zgasła pochodnia olimpijska w czasie biegu i musiano ją przewieźć samochodem do najbliższego etapu, gdzie rozświecono ją nanowo. Przyczyną było, jak się okazało, zastosowanie próbnych pochodni, które miały tylko materjał palny na dwie minuty, podczas gdy normalne pochodnie, używane w biegu sztafetowym, obliczone były na świecenie przez 15 minut

Z Jugosławji podążyła sztafeta dalej do Węgier, by poprzez Budapeszt, a następnie Wiedeń i Pragę przybyć w sobotę do Berlina, gdzie zapali się od ognia ostatniej pochodni dwa znicze olimpijskie, które przez cały czas trwania Igrzysk płonąć będą przed bramami stadjonu.

Sztafeta pobiegnie jednak jeszcze dalej do Kilonji, gdzie odbędą się olimpijskie zawody żeglarskie. Tak samo płonąć będzie znicz olimpijski w Grünau pod Berlinem, gdzie odbędą się regaty wioślarskie.

Znicz olimpijski był dotychczas zawsze symbolem łączności nowoczesnych Olimpjad z ich antycznemi siostrzycami. W roku bieżącym, w roku gwałtownych wstrząsów społecznych i ekonomicznych w całym świecie, oby stał się symbolem prawdziwego zbratania narodów i szlachetnej rywalizacji nietylko na boiskach i bieżniach sportowych... **R.**



Charakterystyczny obrazek z Pusty.





Port w Salonikach.



Wręczanie pochodni na Akropolu.



Krajobraz bułgarski.



Znicz olimpijski w Sofji.



Ruiny świątyni w Delfach.

CHOPIN — ARBITER ELEGANTIARUM

O genjuszu Chopina jako pianisty i kompozytora napisano setki dzieł we wszystkich językach cywilizowanych narodów. W krótkim szkicu niniejszym zajmiemy się jednak Chopinem jako zupełnie wyjątkową postacią życia towarzyskiego swej epoki.

Chopin był chyba jedynym człowiekiem, który już jako młodziutki, bo zaledwie ośmioletni chłopczyk, odgrywał prawdziwie wielką rolę w salonach wielkiego świata i to nietylko jako „cudowne dziecko" muzyki.

W rzeczywistości jego talent pianisty, po pierwszych koncertach w 1818 roku otworzył przed nim podwoje znakomitych domów warszawskich, w których wkrótce stał się najmilej widzianym gościem. Po przyjęciu „Szopenka" przez ekskluzywny salon ordynatowej Zamoyskiej, posypały się zaproszenia do najbardziej arystokratycznych rodzin stolicy; ośmioletniego Frycka przyjmują Sapiehowie, Czartoryscy, Radziwiłłowie, Potoccy, Czetwertyńscy, namiestnik Zajączek, minister Drucki-Lubecki i wielu innych. Chopin jest dosłownie rozrywany i pieszczony przez wszystkie damy z arystokracji, zapraszany nietylko do pałaców na zabawy i przyjęcia, lecz również na koncerty i przedstawienia w teatrze i operze.

Cieszył się ogólną sympatją i uznaniem nietylko jako fenomen muzyczny, który dostarczał przyjemności i rozrywki, lecz podbijał serca wszystkich swym niebywałym wdziękiem w obejściu, swą dystynkcją i wytwornością, swym wybitnym dowcipem i sprytem w trafnych odpowiedziach i uwagach. Robił wrażenie małego książątka, wzrosłego od kołyski w atmosferze zbytku i elegancji nie zaś dziecka skromnego nauczyciela liceum.

„...wczesne przebywanie w najlepszem towarzystwie — pisze o nim jeden z biografów — było dla Chopina czynnikiem bardzo ważnym i dodatnim, dając mu, prócz pewności siebie, formy i maniery towarzyskie wykwintne, arystokratyczne, wyrabiając gust estetyczny, zamiłowanie do elegancji, wstręt do szorstkości i rubaszności, który mu już pozostał na całe życie. To, co weń wpajano w domu rodzicielskim, — rozwinięte zostało przebywaniem w sferach najlepiej wychowanych, posiadających wyrobiony przez wieki polor zewnętrzny..." Nie potrzeba naturalnie dodawać, że cechy wykwintu i elegancji, nabyte przez młodego pianistę, uwydatniają się nader silnie w jego twórczości kompozytorskiej; jak Chopin najlepiej czuł się w salonie, tak też niema muzyki, która bardziej niż Chopina, pasowałaby do atmosfery eleganckiego salonu.

Wprawdzie droga powodzeń w salonach wielkiego świata nie była zbyt bezpieczną dla rozwoju artystycznego młodego chłopca, jednak popularność, pochwały, przedwczesny w stosunku do wieku rozgłos, nie zepchnęły go na bezdroża płytkiego wirtuozostwa i bezdusznej gry. Wrodzona Chopinowi sumienność i pociąg prawdziwego genjusza ku szczytom sztuki, zamiast go zepsuć, budziły w nim ambicję i podniecały do dalszej pracy. Niemniej przeto sukcesy salonowe sprawiały mu niekłamaną przyjemność i jak zobaczymy, zawsze przepadał za wykwintnem towarzystwem.

Jeszcze w Warszawie spotykają go wielkie zaszczyty dworskie, gdyż zostaje przedstawiony jako niezwykły talent muzyczny cesarzowej Marji Teodorównie, matce cara Aleksandra, często zaś bywa zapraszany do Belwederu, gdzie jego muzyki słucha jaknajchętniej Wielki Książę Konstanty i księżna Łowicka. Synek W. Księcia, Pawełek, zaprzyjaźnił się bardzo z równym mu wiekiem Fryderykiem i często przysyłał po niego karetę zapraszając go do wspólnej przejażdżki lub zabawy.



Fryderyk Chopin w czasie swego pobytu w Paryżu — według współczesnego sztychu.

Wśród takiej atmosfery towarzyskiej, która opanowała genjalnego muzyka już w tak młodym wieku, wywierając decydujący wpływ psychologiczny i artystyczny na rozwijający się talent, upłynęły lata pobytu w kraju i w wieku lat dwudziestu wyjeżdża Chopin w podróż, koncertuje w stolicy Austrji i Niemiec, zbiera wszędzie zasłużone oklaski i wreszcie zatrzymuje się na stały pobyt w Paryżu.

Wkrótce, dzięki swej sławie muzycznej, którą przewyższył wszystkich ówczesnych artystów (a nie brakło ich w tym czasie w Paryżu), jak też dzięki stosunkom z polską arystokracją, która prowadziła również wspaniałe salony w Paryżu, a głównie nie dzięki swym nieocenionym walorom towarzyskim, staje się Chopin ulubieńcem wielkiego świata paryskiego.

Zaledwie po roku pobytu, kiedy inni na wielką skalę artyści po kilka lat usilnej pracy potrzebowali, aby dać się poznać lub usłyszeć, Chopin staje się ogólnie znany.

Najbardziej zamknięte dla zwykłych śmiertelników salony używają wprost podstępów, aby zapewnić sobie obecność jego. Damy z arystokracji francuskiej ubiegają się o lekcje muzyki u polskiego pianisty jak o łaskę, z początkowych kłopotów finansowych Chopin nagle przechodzi w stan dobrobytu i jak wyraża się o nim w listach generał Bem, „jest jednym z najbogatszych Polaków zamieszkałych w Paryżu".

Chopin staje się nietylko lubianym i przyjmowanym, ale wprost modą i sensacją wielkiego świata. O tych swoich stosunkach i powodzeniach pisze do przyjaciela: „...Rozrywany jestem na wszystkie strony. Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest do dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo stamtąd niby dobry gust wychodzi! zaraz masz większy talent, jeśli cię w ambasadzie angielskiej lub austrjackiej słyszano; zaraz lepiej grasz jeżeli cię księżna de Vaudemont (ostatnia ze słynnego rodu Montmorency) protegowała".

Nie sposób wymienić tu wszystkich słynnych salonów i nazwisk arystokratycznych rodów, u których Chopin był ulubionym gościem, tembardziej, że dziś już niektóre z nich niewiele nam mówią, lecz sto lat temu były najświetniejszemi w Paryżu. — Wystarczy wspomnieć, że Chopin, jako jedyny z licznej plejady artystów, przebywających podówczas w Paryżu, bywał prywatnie zapraszany przez króla Ludwika Filipa, który przepadał za jego grą i wysoko go cenił jako człowieka i po każdym pobycie ofiarowywał mu jakiś cenny upominek.

Nie mniejszem powodzeniem w świecie towarzyskim cieszył się Chopin w czasie swego tournée artystycznego po Anglji, mimo, że wiadomo, iż arystokracja angielska jest najbardziej ekskluzywną kastą na świecie. Jednak polski pianista stał się wkrótce najbardziej popularną postacią w czasie wielkiego sezonu przyjęć i bali w Londynie. Chopin koncertował w prywatnych salonach, zaś koncerty jego były wielkiemi ewenementami życia towarzyskiego. Na jednym z tych koncertów była obecną królowa Wiktorja (kilkadziesiąt lat później grał dla niej w królewskim pałacu drugi słynny polski pianista, który jako wirtuoz może się równać z Chopinem — Paderewski).

Elegancja i dobre wychowanie Chopina było jedną z jego najgłówniejszych cech. O elegancję w ubiorze dbał od najmłodszych lat i kiedy po raz pierwszy występował publicznie jako dziecko jeszcze, bardzo był dumny ze swego nowego kołnierzyka z koronki. Zapytany przez matkę, co się na jego koncercie najbardziej podobało słuchaczom, odpowiedział: „Ach, mamusiu, wszyscy patrzeli na mój nowy kołnierzyk!"

W Paryżu mimo wielkich zarobków z lekcji i koncertów, często bywał w kłopotach finansowych, gdyż jako prawdziwy „arbiter elegantiarum", przywiązywał do stroju niemniejszą wagę, niż największa elegantka z pośród dam paryskich. Żyjąc wśród najwyższej arystokracji, oraz sfer rów, książąt, hrabiów, markizów oraz sfer „haute finance", nieraz Chopin nie liczył się z groszem jak jakiś książęcy utracjusz, lub baron Rothschild, u którego zresztą często bywał.

„Pięć lekcyj mam dzisiaj dać — pisze do przyjaciela — myślisz, że majątek zrobię? Kabryolet więcej kosztuje i rękawiczki białe, bez których nie miałbyś dobrego tonu..."

Chopin mimo słabego zdrowia stale przebywał do późna w noc na przyjęciach i balach, na których nieraz dużo i chętnie tańczył, uchodził zaś za dobrego tancerza jeszcze w Warszawie. Przepadał również za dobrym dowcipem, w którym sam celował, o czem świadczą jego liczne listy do rodziny i przyjaciół, gdzie prawdziwy francuski „esprit" idzie o lepsze z polską swadą i romantyzmem.

Z. C.

PIĘKNO KSIĄŻKI polskiej



Drzeworyty prof. Bartłomiejczyka, ilustrujące książkę „Dziad i baba".

Warszawskie Towarzystwo Bibljofilów urządziło wystawę „Pięknej Książki Polskiej".

Wystawa postawiła sobie za cel pokazanie „pięknej książki polskiej" przedewszystkiem z punktu widzenia piękna jej *szaty zewnętrznej*, t. j. oprawy.

Na piękno książki składa się wprawdzie, przedewszystkiem jej treść, działająca na intellekt i pobudzająca do myślenia, ale ważną jest także niemniej jej forma graficzna, do której należą materjał, na którym książkę drukowano, charakter i rodzaj czcionek, ilustracja (iluminacje, minjatury, drzeworyty, sztychy), w końcu zaś *oprawa książki*.

Jedynie książka, odpowiadająca pod temi wszystkiemi względami wymogom piękna, — zmiennym wprawdzie niejednokrotnie z biegiem czasu i ulegającym wpływom mody i stylu, a jednak w istocie rzeczy z punktu widzenia kanonów absolutnego piękna, jakże niezmiennym i stałym, — zasługuje w pełni na nazwę „książki pięknej".

Wobec tego, że w Warszawie odbyło się już kilka wystaw książki, które, jak wystawa w kamienicy Baryczków w 1922 r., poświęcona polskiemu drukarstwu, dalej wystawa w Muzeum Narodowem w roku 1934, poświęcona książce pisanej, t. j. iluminowanym manuskryptom i minjaturom — a zatem były to wystawy, obejmujące stronę wewnętrzną książki — przeto Towarzystwo Bibljofilów zupełnie słusznie postawiło sobie za zadanie obznajomienie publiczności przedewszystkiem z zewnętrznem pięknem książki, to jest jej oprawą, ozdobnemi ekslibrysami, umieszczonemi jako znak jej właściciela wewnątrz książki, na odwrotnej stronie oprawy lub przed kartą tytułową oraz wskazującemi właściciela książki superlibrysami, wytłaczanemi na zewnątrz książki, na jej oprawie.

Dział opraw został na wystawie podzielony na dwie części: na oprawy dawne od XVI do XIX wieku, i oprawy nowoczesne naszych współczesnych polskich introligatorów o znanych nazwiskach, a więc: Bonawentury Lenarta, Franciszka Joachima Radziszewskiego, Aleksandra Semkowicza, Jana Recanika, Zofji Dębickiej, A. Michalskiej i wielu innych.

Przegląd tych opraw książek, ułożonych i ustawionych w gablotach i witrynach, niektórych nawet specjalnie elektrycznie oświetlonych, dały szereg niezatartych i niezapomnianych wrażeń estetycznych i jest dowodem naszej kultury duchowej i artystycznej. Wystawa miała znaczenie kulturalne i społeczne, dając obraz prawie że pełny rozwoju naszego introligatorstwa, które z prostego rzemiosła wznosi się niejednokrotnie na wyżyny przemysłu artystycznego.



Między dawnemi oprawami dominują oprawy pergaminowe XVI i XVII wieku, wykonywane w dwojaki sposób, a przez to zasadniczo się między sobą różniące. Jedne na desce obciągniętej pergaminem, przyklejonym i szczelnie przylegającym, z grzbietami mocnemi, silnie wyrobionemi, z wypukłemi, sztywnemi nakryciami grzbietowych zeszyć książki, drugie na tekturze, obciągniętej pergaminem luźno, bez naklejenia do tektury, skutkiem czego przy zmianach atmosferycznych i kurczeniu się tektury pergamin odstaje od oprawy, nadyma się i fałduje, i tworzy jak gdyby luźną membranę.

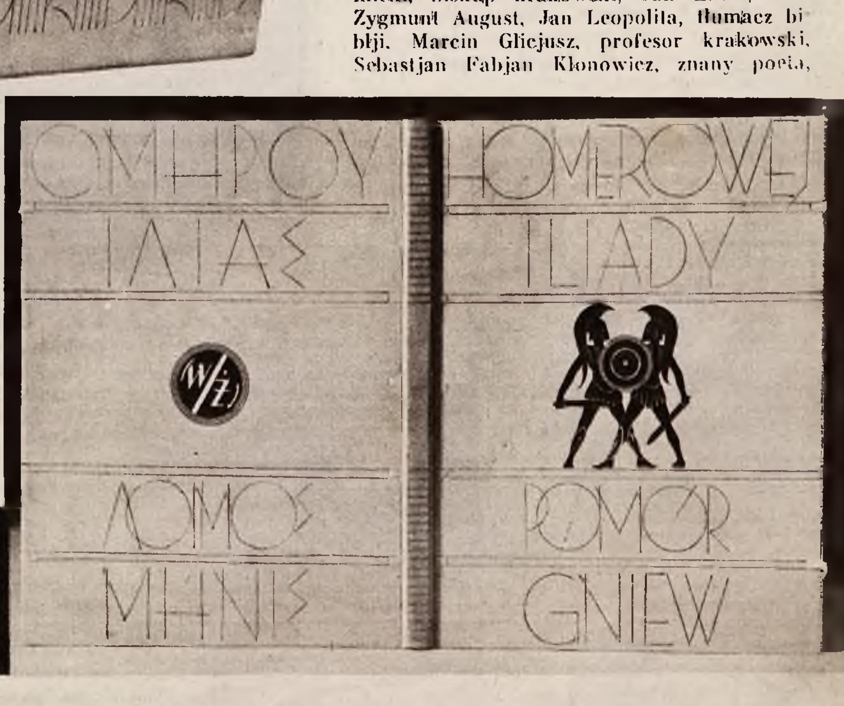
Obok tych pergaminowych opraw, niejednokrotnie z wytłaczanemi na okładkach superlibrysami, w formie ozdobnych herbów ich byłych właścicieli, wpadają w oko piękne oprawy w skórę cielęcą, kozłową, świńską, a nawet oprawy całe z blachy, złoconej, wysadzane pięknemi czeskiemi półszlachetnemi kamieniami. Prawie wszystkie te skórzane oprawy ozdobione są wytłaczanemi w złocie superlibrysami, umieszczonemi w pięknem, artystycznem obramowaniu, a również superlibrysy bywają umieszczane w środku z resztą ozdób złoconych, łącząc w jedną, harmonijną całość.

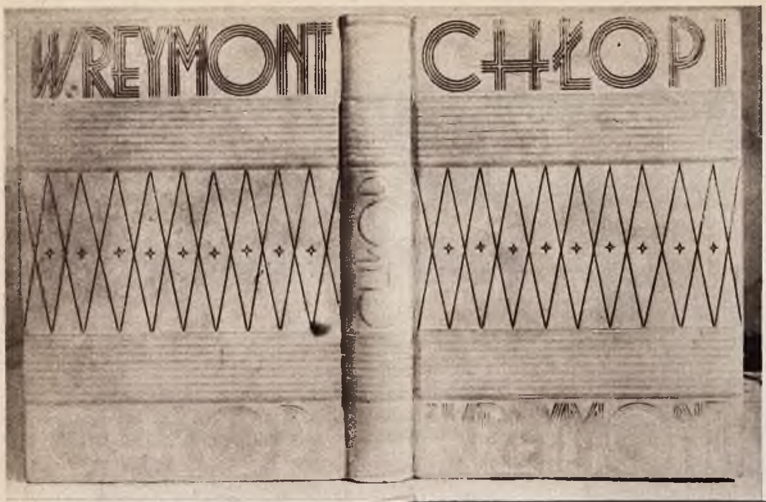
Dlatego też reprodukcje superlibrysów nie powinny ograniczać się tylko do, jak się to czasem dzieje, reprodukcji samego superlibrysu, lecz podawać go łącznie z całością oprawy, z którą harmonijnie się łączy.

Ozdobne, artystyczne superlibrysy zjawiają się w Polsce już w XV wieku na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a odtąd przez cały wiek XVI szerzą się we wszystkich warstwach kulturalnych, by potem w XVII wieku coraz hardziej upadać i zanikać. Między najwybitniejszymi bibljofilami XVI wieku, którzy książki swe opatrywali pięknemi złoconemi superlibrysami, wymienić należy choćby kilku najważniejszych: Krzysztof Szydłowiecki, kanclerz w. k., Piotr Tomicki, biskup krakowski, Jan Łaski, król Zygmunt August, Jan Leopolita, tłumacz biblji, Marcin Glicjusz, profesor krakowski, Sebastjan Fabjan Klonowicz, znany poeta,

Oprawa proj. Zygmunta Kinastowskiego, wykonana w zakładzie Piotra Grzywy. Format „in quarto", skóra jasno wiśniowa kozłowa chagrain, brzegi złote.

Na prawo: Oprawa „Iliady", pr. Z. Kinastowskiego.





Obok pokazu pięknych opraw wystawa w dziale pierwszym pokazała nam „Sto Książek o Warszawie" i zawiera sto dzieł, poświęconych stolicy, począwszy od XVII wieku, a więc nasze „Varsaviana", nadto w dziale IV dała pokaz wydawnictw polskich towarzystw miłośników książki, z Warszawy, Krakowa, Lublina, Lwowa, Zamościa, Łodzi, Torunia.

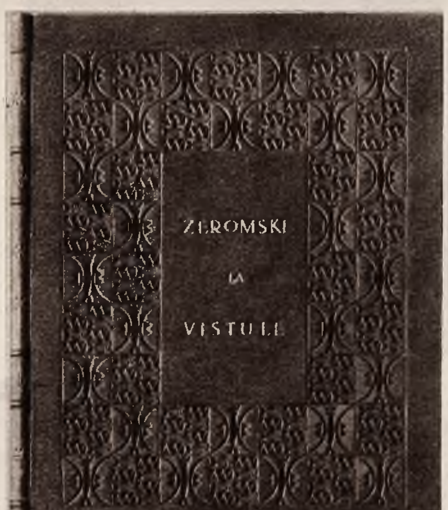
Wśród tych wydawnictw na pierwsze miejsce wybija się najnowsze wydawnictwo Towarzystwa Bibljofilów Polskich w Warszawie, wydane z funduszu wydawniczego znanego protektora bibljofilstwa, Leopolda Wellisza:

„Drzeworyt w książce, tece i na ścianie", dzieło opracowane przez Tadeusza Cieślewskiego syna. Autor, sam znany i wybitny drzeworytnik, podaje bardzo pięknie i wyczerpująco nietylko historję drzeworytu, ale walczy także bardzo udatnemi argumentami o zdobycie pełnego obywatelstwa w książce dla drzeworytów wklęsłych, t. j. dających w odbitce białą plamę na czernem tle.

W wywodach swych szuka autor początku drzeworytu w XIV wieku, gdyż wtedy pojawiają się pierwsze odbitki, t. zw. śrutowe, drzeworytów wklęsłych, dających czarną odbitkę z białemi plamami, a więc „białe na czarnem", a nie jak zwykły drzeworyt wypukły oraz druk „czarne na białem".

Powyżej: Oprawa „Chłopów", proj. Z. Kinastowski z zakł. P. Grzywy. Skóra cielęca naturalna, złocenia maszynowe i ręczne. Po lewej: Oprawa książki S. Morawskiego, proj. Henryk Starzyński, z zakł. P. Grzywy. Skóra świńska naturalna, złocenia ręczne.





Piękna oprawa z zakł. Bonawentury Lenarta z subtelnemi wyciskaniami.

Przyjąwszy tezę autora, należałoby drzeworyt wypukły nazwać *„d r z e w o s z t y c h e m"*.

Ze względu na wielkie wartości estetyczne, które daje „Wystawa pięknej książki polskiej", należy się jej organizatorom pełne uznanie.

Dr. Gustaw Groeger.

Jan Zamoyski, hetman w. k., prymas Stanisław Karnkowski i wielu innych.

Z opraw współczesnych na pierwsze miejsce wybijają się oprawy Bonawentury Lenarta i Joachima Radziszewskiego, ze względu na to, że starają się one zawsze bez błędu spełnić najważniejszy i najistotniejszy postulat pięknej oprawy, t. j. sharmonizowanie ozdób oprawy z treścią i duchem oprawianej książki.

Aby temu postulatowi zadośćuczynić, introligator musi być artystą, odczuwającym nietylko piękno i artyzm swego rzemiosła, ale znającym również treść i ducha książki, którą artystycznie oprawia.

Poniżej: Dwie oprawy proj. przez Henryka Starzyńskiego. Oprawa „Wyspy" — skóra chagrain czarna, złocenia ręczne. Oprawa „Wędrówki" — skóra chagrain granatowa, złocenia ręczne.



W krakowskim salonie letnim Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, wystawiono szereg oprawnych książek, chlubnie wykazujących utrzymanie starych tradycyj umiłowania polskiej książki, która w tem mieście swój żywot poczęła.

Katalog wystawy nazywa oprawy „luksusowemi".

Niestety wskutek braku należytego surowca i używaniu do opraw książek przeważnie kosztownych skór, wyprawionych zagranicą, artystyczna oprawa książek jest w Polsce dotąd luksusem.

W czasie, gdy w Italji pergamin dla swej taniości używany bywa powszechnie, to u nas ten materjał stał się drogocennością. To też nasi projektodawcy zmuszeni są pomysłowością, dobrym smakiem i solidnością wykonania zastępować często kosztowność materjału.

W wystawionych oprawach książek przestrzegane są naogół klasyczne prawa wiązania książki i podkreślania ich ornamentyką linearną. Szlachetna prostota kompozycji bywa uzyskaną przy użyciu kilku stempli linjowych, jak np. w oprawie Zygmunta Kinastowskiego książki Reymonta „Chłopi", wykonanej z jasnej, gładkiej cielęcej skórki, z tłoczonym ręcznie stemplem i stylizowanym rzymskim literniciwem. Wyklejka mile harmonizuje z okładką. Całość chlubnie świadczy, zarówno o projektodawcy, jak i umiejętności zakładu introligatorskiego Piotra Grzywy, z którego to pracowni pochodzi większość wystawionych książek. Wzorem stylowej oprawy, w której treść książki tłumaczy się w okładce, — jest „Illiada" Homera, oprawna w pergamin ze złoceniami ręcznemi i tłoczonym antykizującym rysunkiem. W obu tych dziełach wykazuje Zygmunt Kinastowski wysoki poziom swej sztuki.

„Dziad i baba", wykonane przez tegoż autora w skórce cielęcej, jak i oprawa dzieła p. t. „Artur Grottger", skomponował Kinastowski na innych przesłankach, w charakterze ilustracyjnym. Artysta wykonał kilku stemplami zręcznie stylizowany rysunek, wypełniający obie strony okładki książki.

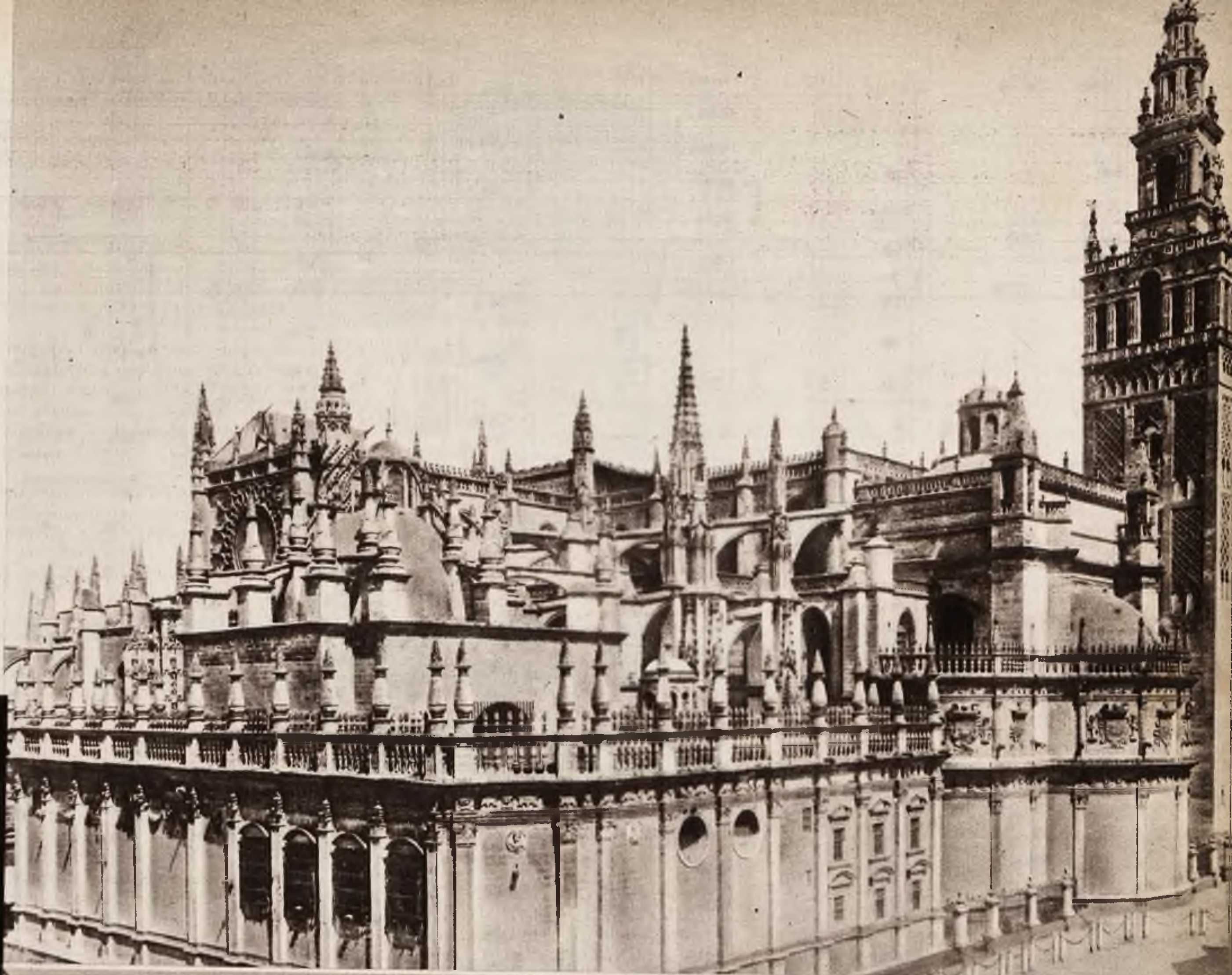
Ratzko Józef wystawił książkę p. t. „Wyspa na Chmurnej Północy", wykonaną również w podobnym, ilustracyjnym charakterze, w jasno-niebieskiej skórze, chagrain, z harmonijnemi wklejkami. Oprawa ta odznacza się wykwintnym smakiem projektodawcy. „Rokoko" Wasilewskiego, oprawne w półskórę pruszkowany przez koronki, zaleca się swą elegancją, jak i inne prace tegoż autora.

Starzyński Henryk wystawił książkę Morawskiego p. t. „10 lat młodości mojej w Wilnie", oprawną całą w skórę świńską, tłoczoną na ciemno ręcznie. Oprawę tę cechuje szlachetna powściągliwość w użyciu logicznego ornamentu i osiągnięcie prostemi środkami powagi stylowości. „Wyspa na chmurnej północy", oprawna w skórę zieloną kozłową chagrain, tłoczona ręcznie stemplem, posiada również swój wdzięk, wypływający z harmonji kompozycji i szlachetności materjału.

Notujemy z radością fakt, iż posiadamy dziś wielu artystów, składających dowody solidnego wysiłku, w kierunku zdobienia artystycznego książki, która aczkolwiek strąconą została przez współczesną falę życia do lamusa, to jednak stała się tem cenniejszą dla prawdziwych miłośników piękna.

Artystyczną oprawą książki określa miłośnik nietylko swój intelektualny stosunek do literatury i poezji, lecz również poziom swych estetycznych potrzeb od sztuki plastycznej, które były zawsze wykładnikiem kultury narodu. Piękna książka w pięknej oprawie — oto sprawdzian kultury estetycznej.

M. Dienstl-Dąbrowa.



„BRATNIE" KLEJNOTY SZTUKI

Wspaniała katedra w Sewilli, która ostatnio padła pastwą płomieni, przypomina bliźniaczo swą sylwetką i ogólnemi zarysami Sukiennice w Krakowie, wraz z wieżą Ratuszową na Rynku. Oba te arcydzieła architektury średniowiecznej pochodzą zresztą z tego samego mniejwięcej okresu.

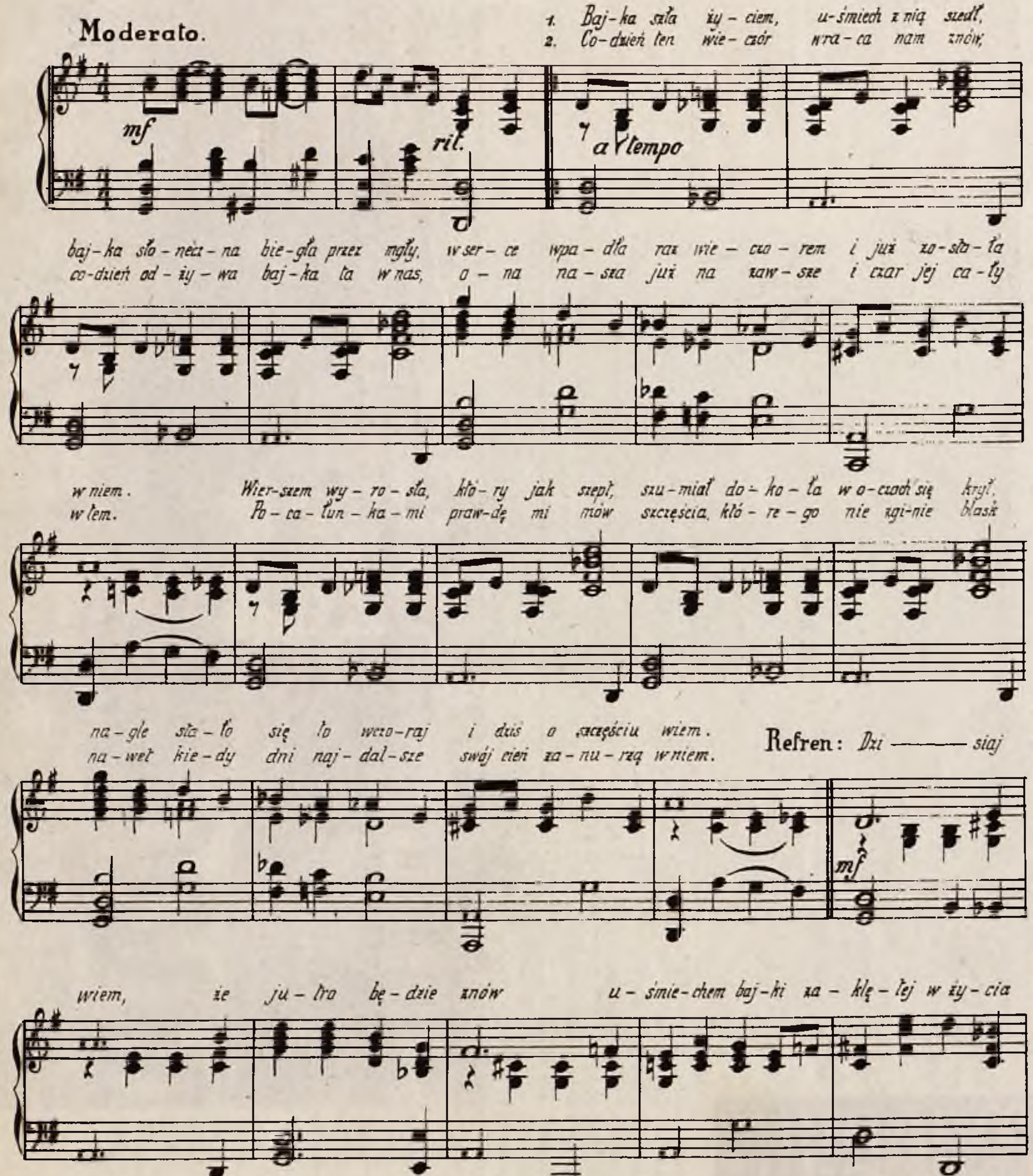


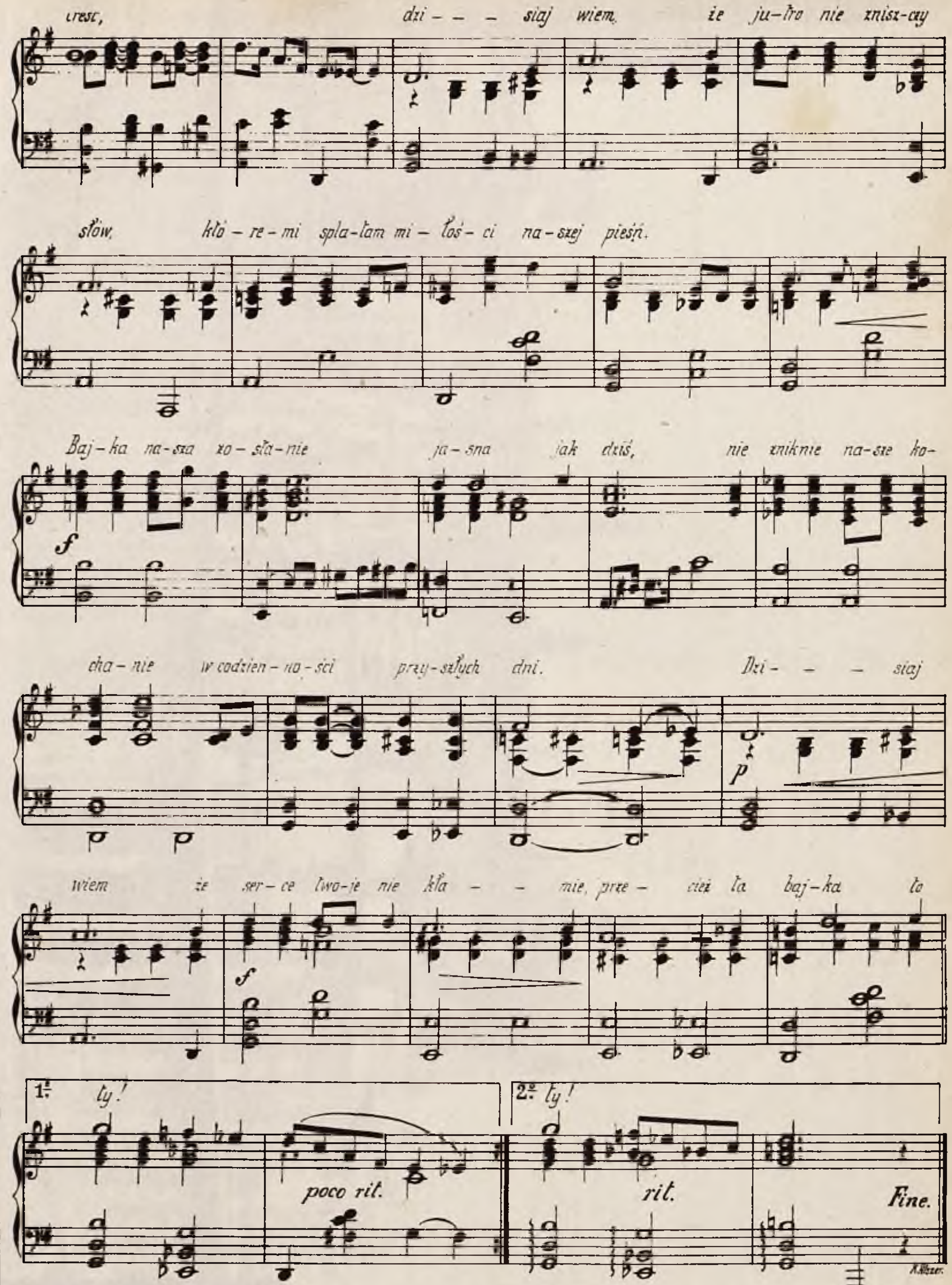
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

BAJKA
SLOW-FOX

Słowa:
WITOLD ZECHENTER

Muzyka:
JAN SCHÖPPL







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 10.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

X.

Rancé spojrzał na zegarek.

— Za 5 szósta. O 6-tej jestem zajęty. Potem będzie obiad. Więc dopiero o 10-tej wieczór dalszy ciąg, jeśli pan zechce. Proszę poczekać na mnie przy palarni I-szej klasy.

— Zgoda — odrzekłem. — Opowiadanie pańskie zajęło mnie niesłychanie!

I wyszliśmy z jego kajuty. Rancé wskazał ręką ku południowi, mówiąc:

— Swatow jest teraz o 30 mil od nas w tamtej stronie. Jutro około 7-mej rano wpłyniemy na wody Hong-Kongu. Będziemy mieli trochę bocznego kołysania około 2-giej w nocy — dodał, spojrzawszy na niebo. — Niech pan patrzy, jak wybrzeże pociemniało i jakie ławice chmur zebrały się na południu... Okręt zaczyna już nawet tańczyć potrochu.

I odszedł — ja zaś udałem się do siebie, by przebrać się do obiadu. Kiedy schodziłem do sali jadalnej, na wielkich schodach znalazłem się tuż za panią Vernod, idącą przy boku swego małżonka. Była między nimi duża różnica wieku. Konsul generalny, jak mi się zdawało, musiał mieć zgórą 60 — lat — a wedle obliczeń Rancé'go żona jego miała najwyżej 33. W białej toalecie wyglądała naprawdę pięknie i wytwornie. Patrzyłem na nią teraz ze zdwojonem zainteresowaniem. — Oto jest ex-pani Koo — mówiłem sobie. — Jakże dziwne są losy tej kobiety!

Stolik, przy którym siedziałem, stał niedaleko stołu państwa Vernod tak, że mogłem swobodnie obserwować ją podczas obiadu. Przy stole tym siedziało, prócz nich, jeszcze kilka osób. Zauważyłem, że pani Vernod mało mieszała się do rozmowy. A może to jednak tylko piękna głowa — a mózgu w niej mało? O czemże ta kobieta mogła myśleć w tej chwili? Czy prześladowało ją może wspomnienie tych okropnych lat, które przeżyła w niedalekiem Swatow — teraz, kiedy żeglowaliśmy w jego okolicach? Rancé zapewnia mnie, że nie... Gdzież w takim razie, w jaki zakątek pamięci usunęła obraz człowieka, który usiłował wyrwać ją z tego nędznego życia? Nie wiedziałem jeszcze wówczas, czy Harcourt'owi udało się dokonać porwania — czy też kobieta ta umknęła z domu męża w inny jakiś sposób. Lecz pełne oburzenia słowa Rancé'go, zdawały się wskazywać na to, że ex-pani Koo zawdzięczała uwolnienie swoje porucznikowi Harcourt. Jeśli więc zapomniała o nim — to Rancé miał rację — i kobieta ta musiała być, albo głupia — albo obojętna i niewdzięczna, aż do okrucieństwa!

Lecz jakże się to dzieje — myślałem dalej — że nie widzę teraz przy boku jej owego porucznika Harcourt? Do jakiegoż to nieszczęścia, którego miała być powodem, czynił Rancé aluzje?

Wiedziałem, że kobiety posiadają niesłychaną zdolność puszczania w kompletną niepamięć dawnej miłości, jeśli je nawiedzi nowa. Jednakże nie zdawało mi się, by pani Vernod mogła kochać — prawdziwie, miłością — dzisiejszego swego męża. Generalny konsul z Hong-Kong, był bardzo zacnym człowiekiem, jak mi mówiono — lecz byłby mógł śmiało być jej ojcem. I zdawał się traktować ją raczej po ojcowsku...

Po obiedzie państwo Vernod przechadzali się chwilę po pokładzie; poczem konsul generalny znikł w palarni w towarzystwie innych pasażerów, a pani Vernod pozostała sama. Usiadła w głębokim trzcinowym fotelu. Zająłem drugi fotel o kilkanaście metrów od niej — i przez dobre pół godziny mogłem obserwować ją bezpiecznie i nie zwracając uwagi na siebie.

Leżąc na pół fotelu, z twarzą opartą na dłoni, pani Vernod zdawała się być pogrążona w myślach. Piękny i regularny jej profil odcinał się wyraźnie — włosy jej przeświecały rudawem złotem w świetle pobliskiej latarni. Kilkakrotnie ktoś z pasażerów zatrzymał się przed nią, by zamienić słów parę. Odpowiadała uprzejmie i z zupełną swobodą.

Żałowałem mocno, iż nie byłem jej przedstawiony. Zdawało mi się, że rozmawiając z tą kobietą, potrafiłbym podpatrzeć jej myśli. Jakież to było dziwne! Patrzyłem na nią, siedzącą o kilka kroków ode mnie — spokojną — napozór przynajmniej...

Nagle przyszła mi śmieszna myśl: pani Vernod popełniła więc chyba bigamję! Była przecież legalnie poślubioną panu Koo. — Jakżeż, w takim razie, małżeństwo jej z konsulem generalnym — zważywszy stanowisko, jakie zajmował — nie wywołało żadnych komplikacyj? Wspominając to, co opowiedział mi Rancé, patrząc na nią teraz, widziałem ją raz, patetyczną w swej rozpaczy, w błagalnej postawie przed potwornym kapitanem na pokładzie Fai-tsi-longu; to znów przebraną za Chinkę — w jedwabnych spodniach i długim, o surowych linjach, prosto opadającym kaftanie, opinającym ciasno jej piersi — z włosami upiętemi w węzeł na szyi. — Zaiste — dziwne to wszystko!

Około godziny wpół do 10-tej pani Vernod wstała i przeszła do salonu. Pozostała tam czas jakiś, przysłuchując się muzyce, bo jedna z pasażerek — pamiętam, jakby to dziś było — grała Preludy Chopina. Poczem pani Vernod powróciła znów na pokład. Tym razem skierowała się ku relingowi, oparła się oń. Patrzała na morze, które chlupało coraz silniej o boki okrętu. W mroku znaczyły się po niem duże białe smugi, w których tańczyły meduzy, wydając blado liljowe, fosforyczne światło.

Spostrzegłem, że kobieta ta wywierała na mnie głębokie wrażenie. Jeszcze dziś widzę ją często tak, jak widziałem wówczas, goniącą tajemnicze wizje oczami utkwionemi w dal. I pewnie już zawsze będę ją tak widział...

Zbliżała się godzina, którą mi naznaczył na spotkanie Rance. Podążyłem więc na umówione miejsce i znalazłem go w palarni I-szej klasy.

— Szukałem pana — rzekł.

— Spóźniłem się — odrzekłem — bo

zapatrzyłem się na panią Vernod — nie, na panią Koo.

Rance skrzywił się pogardliwie. Przyszło mi na myśl, czy ten rodzaj nienawiści, którą odczuwa dzisiaj do tej kobiety, nie był przypadkiem, podświadomie, następstwem owej beznadziejnej miłości, którą żywił niegdyś dla niej?

— Siądziemy na przodzie okrętu, na pomoście dla łodzi ratunkowych. Pasażerom wstęp tam jest wzbroniony — będzie więc można spokojnie rozmawiać.

Przechodząc koło okien palarni ujrzałem pana Vernod. Rozgrywał spokojnie partję szachów.

XI.

— Tego samego dnia — zaczął Rance — rozmawiałem z Martigues o Mr. Koo. Chciałem przy tej sposobności wyciągnąć z niego coś więcej o żonie Chińczyka. Martigues zaczął opowiadać mi długo i szeroko o nim, a ja wahałem się długo, nim wymówiłem nazwisko pani Koo. Byłem przekonany, że ajent musiał wiedzieć daleko więcej, niż wyjawił, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o niej. Zdecydowałem się wreszcie:

— Więc naprawdę, nigdy nie widział pan pani Koo? A przecież bywa pan u jej męża.

— Tak, byłem u niego dwa, czy trzy razy...

— I nigdy jej pan nie widział? — To dziwne...

Zapewnił mnie, że nie, lecz uczynił to takim tonem, iż byłem już teraz przekonany, że kłamie. Odrazu cała historja stała się dla mnie jasną. Przypomniałem sobie, co odpowiedział mi, kiedy naciągałem go na temat jego romansu z Angielką, mieszkającą w Swatow — co powiedział o tej sytuacji „jedynej w swoim rodzaju" — tej „przygodzie romantycznej", w którą był wmieszany.

— Opowiadają, że jest nieszczęśliwa — że ją więżą... — rzuciłem chytrze.

Martigues nie wiedział widocznie nic o tem, jak skończyła się przygoda ostatniej nocy, bo odparł zażenowany nieco:

— Tak — powiadają... Ja sam nie o tem nie wiem.

— Ejże, panie Martigues, niech pan nie udaje przedemną! Po pańskiej minie widzę, że ją pan zna, i że ma pan nawet pewną słabość do tej pani... — Niechże mi się pan zwierzy. Wyobrażam sobie, że to nie może być bez wzajemności... Powiedziałem panu przecież już raz, iż mojem zdaniem, musi pan być w szczególnych łaskach u Amora!

A mój Martigues złożył usta w ciup, jak ktoś, kto ssie bardzo smakowity cukierek i delektuje się nim. Byłbym z ochotą wyciął mu policzek w tej chwili! Zamiast tego jednak, zacząłem kadzić mu, co wlazło!

— Martigues, taki piękny chłopiec jak pan, toż to niepodobna, żeby wszystkie serduszka nie lgnęły do pana! No, dalej, niech pan powie, ładnaż ona przynajmniej — pani Koo?

Zawahał się chwilę — i przyznał wreszcie:

— Tak, naprawdę ładna.

— A więc zna ją pan!

— Tak, przyznaję...

Zacząłem się śmiać:

— A, złapałem pana! — A skoro jest nieszczęśliwa, to widocznie ma już dosyć swego Chińczyka. Świetna okazja dla pana: taka piękna kochanka...

Nadął się jak indyk. To ciekawe, jak wszyscy tak zwani „piękni chłopcy" mają tę samą umysłowość! U wszystkich ta sama próżność — każdy da się nabrać z tą samą łatwością, na ten sam lep: wystarczy udać, że się wierzy święcie, iż niema kobiety, któraby nie była gotową ulec im!

— Tak, — rzekł — ale proszę o najzupełniejszą dyskrecję. Widziałem ją trzy razy; o, tylko przez chwilę, za każdym razem... Byłem w interesie u Mr. Koo. Pierwszy raz, kiedy tam wszedłem, podsunęła mi pokryjomu kartkę, na której opisała mi swoje położenie. Za drugiem widzeniem, ja znów podałem jej kartkę, w której doradzałem jej ucieczkę jako jedyny ratunek. Bo przecież w tej sprawie nie można żądać interwencji konsula...

Zgadzało się to z tem, co pani Koo opowiedziała nam poprzedniego wieczora. A Martigues przybrał znowu tę minę, jakby delektował się cukierkiem: przechylił głowę i z uśmiechem wyszeptał:

— Mój Boże, zdaje mi się, że rzeczywiście — podobałem się jej... I ma pan rację: byłaby z niej wcale przyjemna kochanka...

— No tak — przerwałem z niepewną miną — ale jakże ona zdoła wydostać się stąd?

— Zdaje mi się — że już — to jest, że ufam, iż uda się jej wydostać stąd — poprawił się. Schroni się wtedy do Hong-Kong... Ale, ale — ten Fai-tsi-long opuścił chyba port bez przeszkody? — Bo dziś rano nie widziałem go już na rzece.

— Nie wiem. Pożegnałem się z moim przyjacielem Harcourtem wczoraj około 11-tej wieczór — kłamałem bezczelnie.

Martigues nie wiedział więc jeszcze, że ucieczka pani Koo nie udała się — i że statek podniósł kotwicę, nie uwożąc jej. Widziałem jednakże, że Martigues nie myśli wspominać o tem, iż poprzedniego dnia widział się z panią Koo i uprzedził ją o odjeździe okrętu. Pytałem go więc dalej:

— Jeżeli ta kobieta podoba się panu — a jest prawdą, że ma już dosyć tego chińskiego małżeństwa — czemuż nie spróbuje pan porwać jej i uciec z nią? Jest pan przecież kawalerem...

— Uciekać z nią? — O, za nic! — wyrwało mu się głupio. — Wystawić się na zemstę — i kłopoty — poco, wolę niech ucieknie sama — niech nie wygląda, że umaczałem palce w całej tej sprawie. Chińczycy są zawzięci, znajdą wszędzie człowieka!... Jeżeli uda się jej zbiedz — poproszę o przeniesienie do Hong-Kong, albo do Szanghaju i tam wezmę ją do domu. Ale, dostać, musi się tam sama.

I zaśmiał się, patrząc na mnie — jakby wyczekując, że pochwalę jego plan. O! Pan Martigues nie miał nic z bohatera romansu! Chętnie byłby zafundował sobie piękną kochankę — byłby się pysznił nią potem przed ludźmi — i pewnie rzuciłby ją po pewnym czasie, kiedyby mu się znudziła. Ale tylko tam — w Hong-Kong — gdzie nie było już najmniejszego niebezpieczeństwa! Łajdak ten przejmował mnie coraz większym wstrętem. — A co gorsza — myślałem sobie iluż jest podobnych jemu na świecie! Porównywałem go w duchu z Harcourtem...

Oczywiście ani mi w głowie było pokazać mu, co myślę o nim. Mogłem przecież wydobyć jeszcze od niego dużo użytecznych wiadomości. Lecz Martigues zasępił się nagle i zapytał:

— Czy pan decyduje się ostatecznie osiąść tutaj?

Może nagle powziął podejrzenie, że i ja również miałem widoki na piękną panią Koo i zaczynał żałować swych zwierzeń...

— Ja?! — krzyknąłem. — Ależ mój drogi Martigues, niema nic bardziej nieprawdopodobnego na świecie! Niech djabli biorą tę wstrętną dziurę! Swatow nie uśmiecha mi się wcale — i maluczko, a podniosę kotwicę i nie ujrzycie mnie już więcej na tym brzegu.

To ostatnie było rzetelną prawdą i szczerość mego okrzyku przekonała go. Odrazu stał się nad wszelki wyraz uprzejmy.

— O, ma pan zupełną słuszność... — wstrętna dziura! Ja również nie myślę gnić tutaj. Jak tylko uda się jej zbiedz... — i szerokim gestem wyraził, że świat stoi przed nim otworem.

Jednego dnia poszedłem na zwiady w okolice domostwa pana Koo. Skonstatowałem, iż znak, uczyniony przez Harcourta na murze naprzeciw, istniał ciągle i że tak, jak przypuszczałem, za murem owym wznosiła się pagoda, z licznemi przybudówkami i ogrodami. Cały ten kompleks budynków naprzeciw domostwa Mr. Koo frontem zwrócony do drogi, przytykał tyłami do rzeki.

Mur, zamykający posiadłość Chińczyka wydał mi się dosyć wysoki. Łatwo nie będzie można go przesadzić... Myślałem przytem o służbie — o psach... Plan Harcourta wydał mi się niebezpieczny — nie do przeprowadzenia wprost! — Zwracam uwagę pańską, że ani przez chwilę, nie miałem zamiaru puszczać go samego na tę ryzykowną wyprawę. (C. d. n.)

4 PORY ROKU
w sztuce Indyj

Mieczysław Dunin-Borkowski



Wiosnę symbolizują tańce kobiet hinduskich.

Jeżeli psychologja mieszkańców Indyj daleko odbiega od naszej, to nic dziwnego, że również i sztuka we wszelkich swych postaciach stanowi zupełnie odrębny świat. Malarstwo hinduskie łączy w sobie pewną prymitywność środków, przypominającą dzieła Prerafaelitów, a odznacza się przedewszystkiem wspaniałem sharmonizowaniem wszystkich szczegółów i ciekawą symboliką. Nie mogła ona znaleźć lepszego tematu, jak cztery pory roku, które posiadają wrzystkie swoiste cechy tej sztuki.

Najpierw wiosna: wszystko budzi się do życia, ludzie tańczą z uciechy, że znowu nastąpił okres słonecznego ciepła. Lato: czas zalotów pod cienistym kokosem lub baobabem. Jesień: okres smętnych dumek nad minionym snem nocy letniej. I wkońcu zima, trzeba pomyśleć o zgłodniałych zwierzętach i karmić je.

Pierwsze malowidła indyjskie powstały jeszcze przed urodzeniem Chrystusa. Do malowideł tych używano przeważnie tylko czerwonej farby, jedynie kontury malowano na czarno.

Mniejwięcej w 500 roku ery chrześcijańskiej powstały malowidła freskowe. Resztki fresków znaleziono również w niszach monumentalnych postaci Buddy w Bamiyan. Element indyjski łączy się w nich z formami irańskiemi, co niewątpliwie jest echem malarstwa sasanidzkiego. Szczątki fresków zachowały się także w świątyni podziemnej w Bagh (zachodnie Indje), w Sigirya na Cejlonie i w grotach Ellory.

Właściwe malarstwo rozkwitło w Indjach najbardziej za panowania Jehangira (1605-28), który był namiętnym zbieraczem i znawcą dzieł sztuki. Na jego dworze przebywał sławny malarz Abul Hassan. W tym właśnie okresie zaczynają malować portrety. Za czasów Jehangira malarstwo europejskie zyskało duży wpływ na malarstwo mongolskie: kopjowano obrazy świętych, sztychy i minjatury portretowe z taką dokładnością, że niejednokrotnie trudno jest odróżnić oryginał od kopji. Pojawienie się popiersi portretowych oraz chmur i innych zjawisk atmosferycznych, należy przypisać wpływom europejskim.



Zupełnie skromnemi sposobami artysta hinduski zdołał odtworzyć na obrazie smętek jesieni.





A oto obraz, przedstawiający zimę. — Po lewej: Malowidło wyrażające lato odznacza się wielkiem bogactwem kolorów.

Od tego czasu następuje coraz większy rozkwit malarstwa, aż do XIX wieku, który wprowadza na całej linji skrajny schematyzm, pełen suchych i bezsensownych formuł; odbija się to najbardziej na postaci ludzkiej, a w szczególności kobiecie. Jedyną okolicą, która produkowała w tej epoce upadku prawdziwe dzieła malarskie o niewątpliwej wartości artystycznej, jest Kangra (na wschód od Lakhnau). Dziś jeszcze są tam artyści, którzy trzymają się konsekwentnie starych tradycyj lokalnych z najlepszych okresów.

Naogół współczesne malarstwo indyjskie jest eklektyczną mieszaniną form staroindyjskich, europejskich i wschodnio-azjatyckich.

MAJĄTEK W KARATACH



Osada poszukiwaczy djamentów w Afryce Południowej.
Photo Acta — Bruksela.



Przekopywanie terenu, zawierającego djamenty.
Photo Acta — Bruksela.

Słynne djamenty posiadają swą nazwe i historję. Każdy, kto w przemyśle amenciarskim pracuje, wie, jakie są ich wymiary, wartość i gdzie się znajdują.

Historja wielkich djamentów jest w większości wypadków bardzo krwawa, a już od wieków przypisywano im własności ściągania nieszczęść na tych, w których posiadaniu się znajdują. W Anglji w ciągu bardzo długiego czasu wzdrygano się na myśl tego, co może się zdarzyć królowej Wiktorji, której ofiarowano w 1850 r. słynny kamień indyjski Kohinoor. Wschodnia Kompanja Indyjska, która zrobiła ten prezent, była zresztą z tego powodu bardzo krytykowana.

„Kohinoor" w chwili obecnej waży 70 karatów i jest on częścią kamienia, który ważył 173 karaty, lecz został następnie rozcięty. „Kohinoor" posiada najstarszą ze wszystkich wielkich djamentów historję. Przed 5.000 laty miał on być przyniesionym przez pewnego wojownika indyjskiego Kame do Mahabharata.

W XVI stuleciu Wielki Mogul potrafił zdobyć go dla świątyni bramańskiej w Pagan i umieścić na czole bóstwa Rama—Sita, obok innego, nie mniej znanego na świecie kamienia — „Wielkiego Moguła", ważącego 270 i 3/4 karata. Pewnego dnia przyjechał do Pagan awanturnik francuski, Tavernier, któremu udało się skraść „Wielkiego Moguła". Bramanowie indyjscy rzucili klątwę na posiadaczy tego kamienia i w istocie kolejno wszyscy oni ginęli. Taverniera rozszarpały dzikie zwierzęta. Ludwik XIV, który djament ten skolei otrzymał, wpadł w nieuleczalną chorobę. Jedni z następnych posiadaczy „Wielkiego Moguła", Ludwik XVI i żona jego Marja Antonina, zginęli na szafocie. Kamień ten przynosił tylko nieszczęścia.

„Kohinoor" pozostał na czole bóstwa Rama Sita, lecz legenda mówiła, iż w wypadku, gdyby „Wielki Mogul" na swe miejsce nie powrócił, ściągnie to na Pagan nieszczęście. I rzeczywiście Pagan, a następnie Delphi, zostało zniszczone, a „Kohinoor" zrabowanym i przeniesionym do Afganistanu, gdzie w stokilkadziesiąt lat później wszedł w posiadanie Wschodniej Kampanji Indyjskiej, która w 1850 r. ofiarowała go królowej angielskiej.

Słynny kamień „Golkondy" posiada tylko 63 karaty, przeszłość jego była jednak nie mniej tragiczna. Na „Golkondę" po raz pierwszy natrafiamy w Indjach w XVII stuleciu. Tych wszystkich, którzy ją posiadali, spotykała gwałtowna śmierć. Szerząc tak nieszczęścia, kamień ten przechodził z rąk do rąk, dostawszy się wkońcu w posiadanie Habsburgów.

W końcu XVIII stulecia jednym z najgłośniejszych szlachetnych kamieni był wspaniały djament, znajdujący się w koronie Nadir Szacha. W 1747 r. Szach zostaje zamordowanym, Przed śmiercią rzucił on jednak przekleństwo na tego, który go będzie posiadał. Kamień ten został nabytym przez księcia Orłowa w 1772 roku i ofiarowanym Katarzynie II. Ta kazała go umieścić w berle carskiem. Legenda głosiła, że w rocznicą śmierci Nadir Szacha posiadacz jego, a więc car, zostanie zamordowanym. Na dworze rosyjskim o legendzie tej doskonale wiedziano, lecz nie zwracano na nią większej uwagi. Orłow posiadał przed oszlifowaniem 230 karatów, po oszlifowaniu zaś 193 karaty. Ostatni jego posiadacz car Mikołaj zginął rzeczywiście śmiercią tragiczną i to dokładnie w 230 rocznicę zamordowania Nadir Szacha. Tyle lat upłynęło, ile karatów liczył djament.

W Indjach istnieje przekonanie, iż powodem tych tragedyj „djamentowych" jest to, że na świecie istnieje tylko 13 wielkich djamentów. Są to: Cullinan, Excelsior, Florentin, Wielki Moguł. Golkonda, Gwiazda Afryki Południowej, Gwiazda Południa, Regent, Orłow, Radża z Mattum, Kohinoor, Hope i Jubileusz Reitzu.

Najwspanialszym kamieniem, jaki kiedykolwiek na świecie znaleziono jest „Cullinan" (Great Tesmur). Znaleziono go w Afryce Południowej w 1905 r. Ważył on 3024 i 3/4 karata. Wymiary jego były 10×6×3,7 cm. Djament ten został ofiarowanym w dwa lata później przez rząd południowo-afrykański królowi angielskiemu Edwardowi VII, w dowód wdzięczności za konstytucję autonomiczną, jaką przyznał on wówczas Afryce Południowej.

Drugim co do wielkości kamieniem jest „Excelsior", który waży 971 i 3/4 karata. Znaleziono go w 1893 r. w Jasperfontein w Afryce Południowej. Długość tego kamienia wynosi 8,5 cm. i jest on koloru biało-niebieskiego.

„Florentinowi", który stał się własnością Habsburgów, przypisywano również tragiczne właściwości. Nazywany jest on także Kamieniem Toskańskim i waży 139 i pół karat.

„Gwiazda Południa" jest największym djamentem brazylijskim. W stanie naturalnym ważył on 254 karaty. Przy szlifowaniu jednak został on przecięty i ważył wówczas tylko 125 karatów. Umieszczony w 1855 r. na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu, został sprzedany za 12,000.000 fr.

„Gwiazda Afryki Południowej", zwany inaczej „Dudley", został znaleziony przez pastucha w rzece Oranje. Uradowany tem odkryciem pastuch sprzedał go za 500 baranów, 10 byków i 1 konia. Nieco później lord angielski Dudley zapłacił za ten sam kamień, który ważył 83 i pół karata, 300.000 florenów, a więc około miljona złotych.



Oto najsłynniejsze djamenty świata: 1) „Gwiazda Polarna", 2) „Pasza Egiptu", 3) „Gwiazda Południowej Afryki", 4) „Niebieska Nadzieja", 5) „Cullinan", 6) „Gwiazda Estów"

„Hope" nosi nazwę bankiera holenderskie go z Amsterdamu, który go nabył w ubiegłem stuleciu. Kamień ten koloru niebiesko-białego waży 44 karaty.

„Jubileusz Reitzu" jest jednym z największych djamentów. Waży on 633 i 3/4 karata. Został jednak przy szlifowaniu przedzielonym i dziś ma on tylko 239 karatów. Pochodzi, podobnie jak i inne wielkie kamienie, z Afryki Płudniowej.

Radża z Mattum posiada djament o 367 karatach w kształcie jajka. Znaleziono go w połowie 18-go stulecia na Borneo i sprzedano Radży z Mattum, u którego się do chwili obecnej znajduje.

„Regent", nazwany inaczej „Pitt-Diamond", waży 136 i 3/4 karata. Znaleziono go w Indjacn i sprzedano Regentowi Francji ks. Orleańskiemu.

Taka jest mniej więcej historja 13 największych djamentów świata!—Golkondę, Orłowa, Wielkiego Moguła i Kohinoora opisaliśmy powyżej.

Legenda mówi, iż przynosić one będą nieszczęścia do chwili, dopóki liczba ich będzie wynosić trzynaście. Przed niedawnym czasem jednak znaleziono w Południowej Afryce nowy, wielki djament, który nazwano „Jonkheer". Waży on przeszło 700 karatów. Czyżby na tym kamieniu, który jest czternastym, owa krwawa legenda miała się zakończyć?

Hajot.

życie artystyczne i towarzyskie

NOWY AMBASADOR R. P. W PARYŻU.



Po odwołaniu p. ambasadora R. P. Alfreda Chłapowskiego z Paryża placówkę tę objął p. min. Łukasiewicz, jeden z najzdolniejszych naszych dyplomatów. Oto widzimy go w towarzystwie (po lewej) dyrektora francuskiego Protokółu Dyplomatycznego, p. Becq de Fouquières, po złożeniu prezydentowi Republiki Francuskiej Gastonowi Lebrun listów uwierzytelniających w pałacu Elizejskim. *Keystone, Berlin*

REPREZENTANT WŁOCH NA WAWELU.



W wspaniałych ramach królewskiego zamku na Wawelu złożył ostatnio nowy ambasador Królestwa Włoch bar. Arone di Valentino swe listy uwierzytelniające P. Prezydentowi R. P. Uroczystość odbyła się w sali Poselskiej, pamiętającej podobne chwile z czasów największej potęgi Polski. Na zdjęciu Ambasador bar. Arone di Valentino w towarzystwie dyr. Prot. Dypl. hr. Karola Romera i członków Ambasady przechodzi przed frontem kompanji honorowej na dziedzińcu wawelskim. *Fot. „AS".*

KARJERA FILMOWA DROHOBYCZANKI.

Jedna z włoskich wytwórni filmowych zaangażowała ostatnio p. Helenę Süssmann pochodzącą z Drohobycza, która w najbliższym czasie ma wziąć udział w nakręcaniu wielkiego filmu włoskiego. P. Süssmann jest żoną włoskiego przemysłowca i zamieszkuje stale w Medjolanie.



WYSOKIE ODZNACZENIE WŁOSKIE DLA NACZ. RED. „I. K. C." MARJANA DĄBROWSKIEGO.



Podczas swego pobytu w Krakowie z okazji wręczenia listów uwierzytelniających P. Prezydentowi R. P., ambasador włoski bar. Arone di Valentino wręczył nacz. red. „I. K. C." p. Marjanowi Dąbrowskiemu w imieniu swego monarchy odznaki Wielkiego Krzyża Komandorskiego orderu Korony Włoch. Ceremonjał dekoracji odbył się w obecności wszystkich członków Ambasady królestwa Włoch w Grand-Hotelu, gdzie p. Ambasador czasowo zamieszkał. Na zdjęciu widzimy w środku nacz. red. Marjana Dąbrowskiego, oraz Ambasadora bar. di Valentino, ponadto od lewej: red. dra Szperbera, attaché pras. dra Sustera, attaché wojsk. płk. Marazzani'ego, radcę legac. Ricciego, i sekr. Amb. Zamboniego. *Fot. „AS".*

Z TEATRU NOWEGO W POZNANIU.

Ruchliwa scena Teatru Nowego w Poznaniu pochwalić się może dużym sukcesem farsy Hennequina i Vebera „Codziennie o 5-tej". Cieszy się ona zarówno dzięki grze aktorów, jak również swej dynamice nieustającym powodzeniem u publiczności. Na zdjęciu scena z II. aktu z Władysławem Walterem i Zygmuntem Noskowskim.



WYSTĘPY 7-LETNIEJ GWIAZDKI.

W sztuce W. Bogusławskiego „Krakowiacy i Górale", wystawianej wielokrotnie w krakowskim teatrze im. Słowackiego, ogólną sympatję publiczności zyskała swym tańcem utalentowana 7-letnia Wandzia Kowalikówna. Poza poprawnym tańcem Kowalikówna odznacza się... piękną buzią i pewnością siebie!

Fot. Zygmunt Woźniak, Kraków



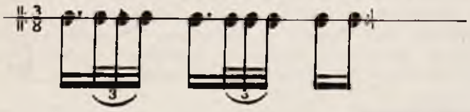
J. HARASOWSKA

W RYTM KASTANIETÓW...



Kastaniety są najbardziej charakterystycznym rekwizytem w tańcach hiszpańskich.

Cóż bardziej charakteryzuje nam cudowny koloryt półwyspu iberyjskiego, jeżeli nie koronkowe szale upięte wysoko we włosach nad ognistemi oczyma Hiszpanek, roznamiętnione corridy... i rytm kastanietów?



To pulsująca gwałtownemi rytmami dusza narodowej muzyki hiszpańskiej, to głośne bicie jej serca, przepełnionego namiętnemi uczuciami, rodzącemi się pod południowem słońcem, tam gdzie w tych niezbadanych zakamarkach dusz graniczą obok siebie miłość i śmierć, ofiara i zbrodnia.

To kastaniety!

Gdzie szukać ich początku? Gdzie znaleźć ich analogje, nęcące... mędrca szkiełko i oko?

Czy są to echa dyjonizyjskich śpiewów słonecznej Hellady, których orgjastycznym celom służyły liczne instrumenty perkusyjne, jak podobny do kastanietów, „krotale"?... Nie wiemy tego, iecz szukając ich początku iść musimy w odległe wieki wstecz.

Słyszymy kastaniety w dawnej tradycji tańców religijnych, których pozostałości do dziś dnia dziwią nas w katedrze sewilskiej, gdy wykonują je chóry w historycznych strojach z XVI w. Wiadomo, iż w sercu Hiszpanji, w Katalonji, tańce takie były nieodłączną częścią składową kultu religijnego aż po koniec XVII w. Rytm kastanietów jako akompaniament śpiewów kościelnych dodawał im namiętnej żarliwości.

Dziś inteligencja hiszpańska zarzuca ludową nazwę „castanuelas", przydając kastanietom miano „pallilos" (drewienka). Źródłosłów „castanuelas" wywodzą jedni bezpośrednio od podobieństwa kształtu ich z połówkami kasztana, inni od suchego trzasku pękających przy pieczeniu w ogniu surowych kasztanów, który to trzask podobny miałby być do odgłosu wprawionych w ruch kastanietów.

Kastaniety to nieodłączny czynnik piosenki i tańca hiszpańskieog. A taniec jak walka byków jest potrzebą temperamentu Hiszpanów. Ludowe jego formy przy akompaniamencie gitar i kastanietów, przy dźwięku szklanek wina, które jeszcze bardziej rozgrzewa już z natury tak zapalne głowy, jakże są charakterystyczne dla krajobrazu tego pięknego kraju. Dziś zrasza go krew rewolucji domowej, powstałej w porywach temperamentu uczuć patrjotycznych, w obronie przed skomunizowaniem kraju, szczycącego się dotąd wysoką kulturą europejską.

A Hiszpanie idą do walki jak w taniec, jak na corridę...

Zamilkły piosenki, zamarły w tych czarnych godzinach namiętne tańce. Nie leje się wesołą strugą wino. Wino przemieniono w krew!

Dziwnym zbiegiem okoliczności zgasła równocześnie najświetniejsza gwiazda tanecznej Hiszpanji, uosobienie jej i najdoskonalsza personifikacja... słynna tancerka Argentina.

Kto miał sposobność widzieć jej sztukę taneczną, podniesioną do wyżyn doskonałości, skończoną w plastyce indywidualnej, w kompozycji zespołów, tła sceny i bajecznych ludowo-stylizowanych kostjumów, temu pozostała ona w pamięci jako zjawa, najdoskonalszej w swej formie, roztańczonej piosenki hiszpańskiej.

Muzykę i taniec swego kraju rodzinnego wyniosła Argentina na forum Europy w najpełniejszym splendorze wysoce artystycznych koncepcyj, czynnika najbardziej przemawiającego do dzisiejszej międzynarodowej inteligencji, zjawiającej się w wielkich salach koncertowych i teatrach.

Ludowe tańce, stylizowane przez Argentinę i jej zespół, to skończone arcydzieła kunsztu plastycznego, czy była to andaluzyjska seguidilla, bolero, fandango, czy z Kuby importowana na hiszpański użytek habanera... A brzęk kastanietów, mistrzowsko przez Argentinę opanowanych, ognistych przydawał im rytmów.

Rytmy te dobywają się z małych drewienek, przyczepionych do wielkiego palca obu rąk, drżą miljardami drobniutkich uderzeń,



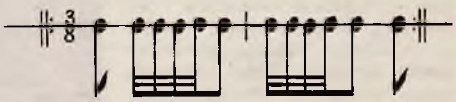
Zgodnie ze starą tradycją do dziś dnia flirty uprawia się w Hiszpanji przez kratę, przy wtórze smętnej serenady.

łączonych dla każdego tańca w jego charakterystyczne motywy.

Bolero, które silnie oddziałało na twórczość pozahiszpańską, zamyka się rytmicznie w następującym obrazie:



Inny rytm trójkowy przedstawia fandango (rondena, malaguana):



Habanera byłaby przykładem rytmu parzystego w tańcu hiszpańskim:



Te i im podobne motywy rytmiczne odnajdujemy w innych mniej poza Hiszpanją znanych tańcach i pieśniach ludowych, jak pavana, carinosa, villanella, lagarterana lub romanza. Najbliższe im północne Włochy, spokrewnione tematowo, rozbrzmiewają również rytmami kastanietów. Tu i tam piosenka i taniec wyszły w triumfie karnawałowych kawalkad na ulice wielkich miast i wielkich uzdrowisk. Tu i tam żyje się pod znakiem tryskających z piosenki radości życia i użycia.

Nie znajdujemy go dziś na wulkanie, jakim w ogniu walk stała się Hiszpanja. Inne rytmy wybijają werble bratobójczych armij.

Oby skończyły się jak najprędzej, a weszła znów na ich miejsce piosenka, rozdygotana, jak serce krwią pulsujące, od drżących rytmicznie kastanietów.



Po lewej — W Hiszpanji taniec nie ogranicza się do murów domostw, lecz kwitnie również przy pewnych okazjach na ulicy.

HISZPAŃSKI TANIEC

Uwagi zmarłej niedawno słynnej tancerki La Argentina.

Sztuka tańczenia, jak każda inna sztuka, wymaga wielkiej znajomości praw jej realizowania i na tem polega wielka odpowiedzialność artysty, który dany rodzaj sztuki uprawia. Taniec nie może być wyłącznie środkiem do zdobywania sobie popularności przy pomocy plastycznych ruchów i mimiki. Taniec to sztuka ucieleśnienia natchnień muzycznych przy pomocy żelaznej dyscypliny ciała. Cyganie nazywają to lapidarnie, tańczeniem podług koła.

Hiszpańska muzyka jest znana całemu światu. Czy jest dobrze czy źle interpretowana, istota jej pozostaje ta sama, a jej stanowisko w świecie sztuki pozostaje niezmienione. Inaczej jest z tańcem, który z tej muzyki wykwita.

Taniec nie daje się utrwalić na papierze jak dzieła muzyczne. Taniec tworzy się i zmienia zależnie od smaku i umiejętności artysty, który go otwarza.

Większość hiszpańskich tancerzy ulega złudzeniu, że należy fałszować taniec hiszpański, z tego rzekomo powodu, że publiczność europejska, nie chce widzieć tańca hiszpańskiego takim, jakim on jest w rzeczywistości. Ten punkt widzenia nie może być traktowany poważnie. Prawdziwy taniec hiszpański zachowuje wszędzie swoją wartość artystyczną, właśnie tylko dzięki swoistej oryginalności i charakterystycznym szczegółom.

Zrozumienie dla sztuki danej publiczności świadczy o jej kulturze. Artysta, który dostosowałby się do smaku mniej kulturalnej publiczności, grzeszyłby przeciwko sobie i przeciwko niej. Graniczyłoby to z nieprzyzwoitością i jest nieprzebaczalne zwłaszcza tam, gdzie publiczność wykazuje ze swej strony wielkie dla sztuki zainteresowanie. Wielu melomanów europejskich dopiero w samej Hiszpanji, gdzie żaden z tancerzy nie ośmieliłby się fałszywie interpretować tańca hiszpańskiego, odkryło ze zdumieniem prawdziwy nasz taniec ludowy.

Niestety skonstatować należy, że łatwiej zdobyć publiczność przy pomocy łatwych sztuczek, niżeli prawdziwie artystyczną interpretacją, utrzymaną na wyżynie autentyczności. Sztuczki te przy tańcu hiszpańskim, to przeważnie inspiracje zaczerpnięte z literatury. W ten sposób dostały się do tańca brawurowa odwaga torreadorów, sztuczki „gauchos" (ujeżdżaczy koni), wężowe ruchy indo-amerykańskich tancerek itd. Taniec w ten sposób obcymi sobie elementami zniekształcony traci narodową autentyczność. Dla mnie jest to taką degradacją tańca, jak np. pisanie nogami.

Karykatury tańca publiczność często ogląda na estradach koncertowych. U nas mówi się o takich tancerzach dosadnie, że „ręka Boga nie jest nad nimi". Wprawdzie czują się oni pewni swojej publiczności, lecz to są sukcesy krótkotrwałe. Tylko prawdziwa sztuka, sztuka pochodząca z serca, wyzwala rzetelny i nieprzemijający entuzjazm publiczności.

Publiczność można zdobyć albo wstępnym bojem, albo długą cierpliwą pracą artystyczną. W tym drugim być naturalnie większe, lecz w obu wypadku ryzyko niepowodzenia musi wypadkach tylko szczerość może mieć szanse.

Taki jest nasz punkt widzenia, który nie uznaje kompromisów w dziedzinie sztuki. To też rozumiem Byrona, cytującego z zachwytem wspomnienie rozmowy z małym chłopcem w Hiszpanji, który na zapytanie, czy chciałby być torreadorem, odpowiedział, że wolałby być świętym!

Święty lub torreador!

Cuda lub sztuczki i tricki!

Pomiędzy temi dwiema drogami musi wybierać zawsze prawdziwy artysta.

Argentina.



Niedawno zmarła sławna tancerka La Argentina, w narodowym stroju hiszpańskim.

Po prawej: Nadwyraz pomysłowe dekoracje tworzyły ramy dla baletu „Triana" i tańca Argentiny.



Poniżej: Dekoracje baletu „Sonatina", w którym występowała La Argentina.





Kostjum pasterki w balecie „Sonatina".



Kostjum jednej z postaci baletu „Triana".

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA A LA MINUTE. Z 4 dkg masła i tyleż mąki usmażyć zasmażkę jasno złotego koloru, wbić dwa rozkłócone poprzednio jaja i mieszać na ogniu na zupełnie gładką masę. Osobno rozpuścić kawałek bulionu w wrzącej wodzie, licząc litr wody na 4 osoby i zalać mieszając, masę jajeczną. Osolić do smaku. Gotować więcej nie należy. Grzanki z rożka i siekana zielona pietruszka, jako dodatek do zupy.

SAŁATA „RARIGOTTE“. 8 jaj ugotować na miękko (3 minuty) włożyć do zimnej wody, następnie ostrożnie ołupać. Można też użyć tzw. jaj „pochés“, tj. wpuszczanych na gotującą, zakwaszoną octem wodę. Dwie główki białej francuskiej sałaty oczyścić, opłókać w kilku wodach, nie mocząc jej długo; większemi liśćmi sałaty wykłada się spód salaterki, następnie układa się na nich jaja, przekładając środkami sałaty, pokrajanymi w ćwiartki. Wszystko zalewa się sosem „rarigotte“, sporządzonym w następujący sposób: jedno surowe i jedno twarde żółtko uciera się z szczyptą soli, białego pieprzu i cukru, dodając **kroplami** 12—14 dkg oliwy stołowej. Wkońcu dodaje się łyżkę kremskiej musztardy i trochę siekanego szczypiórku. Chcąc sos ten sporządzić w autentycznie francuski sposób wkłada się do niego kawałek skórki z chleba, natartej silnie czosnkiem. W tym wypadku odpada szczypiórek.

POTRAWKA Z KALAFIORA. Zrobić na cebulce zasmażkę z łyżki świeżego masła i mąki zalać kilku łyżkami słodkiej śmietanki i wody z pod gotującego się w międzyczasie kalafiora. Sos powinien być zawiesisty niezbyt gęsty. Ugotowany kalafior rozbiera się na pojedyncze różyczki, wkłada do sosu i zagotowuje. Potrawę podaje się obłożoną jajecznicą usmażoną z kilku jaj i grzankami z bułki.

SAŁATA Z OGORKÓW I FASOLKI SZPARAGOWEJ. 20 dkg młodej fasolki żółtej szparagówki obciąga się dokładnie z włókien, kraje w kawałki i gotuje w słonej wodzie. Długi, wąski ogórek ołupany, kraje lub szatkuje się na cienkie płatki, posypuje solą i odstawia. Odcedzoną z wody ugotowaną szparagówkę, przelaną zimną wodą i ostudzoną miesza się z ogórkami, zaprawia octem lub sokiem cytrynowym, cukrem i oliwą. Dla amatorów szczypiórek lub cienko krajana młoda cebulka po wierzchu sałaty.

PRZEPIÓRKI, KURKI WODNE itp. dzikie ptaszki błotne, strzelane obecnie, są bardzo smaczne, o ile są tłuste, co zwykle podczas żniw ma miejsce. Przed oczyszczeniem powinny kilka dni wisieć na powietrzu nieoskubane poczem się je czyści, patroszy, wymywa szybko i posoliwszy piecze się je na rożnie lub też obkłada płatkami słoninki i piecze w piecyku. Gdy się słonina dobrze zrumieni, zdejmuje się ją i dopieka ptaszki przy częstem polewaniu masłem. Pieczenie trwać powinno najwyżej 30 minut inaczej pieczyste wyschnie i staje się niesmaczne. Podaje się na grzankach z chleba, polanych sosem, którym się ptaszki polewało.

PASZTET Z DZIKICH PTASZKÓW. Mięso, obrane z upieczonych kilku (5—6) ptaszków, puszcza się przez maszynkę od mięsa wraz z kawałkiem uduszonej cielęcej wątróbki, gotowanego tłustego boczku (po 10 dkg) oraz podróbkami z ptaszków, również uduszonemi. Do farszu domiela się rozmoczoną w mleku bułkę oraz małą sparzoną wpierw cebulkę, dorabia smak solą i pieprzem, dodaje parę ziarn tłuczonego jałowca, dwa całe jaja i wyrabia masę łyżką przez 15—20 minut. Pasztet gotuje się w formie na parze trzy kwadranse. Farsz powyższy można też nałożyć do formy, z francuskiego ciasta naprzód przygotowanej i zapiec przez 10 minut w piecu. Podawać na gorąco, jako przystawkę.

Łatwiejszy sposób sporządzania przystawki z podanego powyżej farszu jest wyrabianie z niego małych krokietków, które opanierowane w jajku i bułeczce smaży się pływająco w mieszanym tłuszczu. Podaje się je zgrabnie ułożone na półmisku, osobno sos maderowy lub ostry wedle gustu.

OSTRA KONSERWA Z OGÓRKÓW. Ogórki dobrze ołupane oczyszcza się z pestek i rozkrawa wzdłuż na cztery części. Nasolone pozostawia się w misce, lekko nakryte przez 24 godziny. Na drugi dzień wykłada się je dla osuszenia na czystą ściereczkę, poczem się je układa w słoju, przesypując jasną gorczycą i zalewa zimnym octem winnym, zagotowanym poprzednio z całym pieprzem i kawałkiem imbieru. Konserwa, zawiązana pergaminem, powinna być umieszczona w miejscu suchem i chłodnem. Inny sposób angielski każe niezbyt duże ogórki ołupane, niekrajane, nasolić i pozostawić przez kilka godzin. Następnie parzy się je wrzącym octem, osącza z niego, układa w słoju, przekłada szalotkami i całym pieprzem oraz kawałkami chrzanu i zalewa silnym, surowym octem winnym. Na wierzch wkłada się mały woreczek płócienny, napełniony gorczycznemi ziarenkami.

Szyc.-Korsak.



CENNY NABYTEK GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Prace kulinarne obracają się codziennie wokół problemów ważenia składników pokarmowych, potrzebnych w użytku domowym w najrozmaitszych ilościach. To też waga i to dobra waga jest koniecznym nabytkiem każdego gospodarstwa domowego. Na zdjęciu jeden z najnowszych modeli precyzyjnej wagi domowej, na której zważyć można nawet 1-no gramowe ilości.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 32 — **Sierpień** — Dni 31
Niedziela **2** NPM. Anielsk.	Zupa a la minute. Sałata "ravigotte". Młod indyczka z mizerją i jarzynkami. Kruchy placek z morelami. <u>Kolacja:</u> Pasztet z dzikich ptaszków z sosem angielskim.
Poniedziałek **3** Zn. św. Szczepana	Zupa ogórkowa. Potrawa z kalafiora. Comber barani z sałatą i marchewką. Kompot mieszany. <u>Kolacja:</u> Omlety z grzybkami.
Wtorek **4** Dominika	Rosół z francuskiemi kluskami. Sztuka mięsa garnirowana jarzynkami. Przepiórki z rożna z czerwoną kapustą. Tort letni z galaretką owocową. <u>Kolacja:</u> Pierożki z słodką kapustą.
Środa **5** NPM. Śnieżnej	Zupa owocowa zimna. Włoska kapusta z rumianem masłem. Polędwica wieprzowa z ogórkiem. Drożdżowe dołki z konfiturami. <u>Kolacja:</u> Szpinak z jajami.
Czwartek **6** Przemienienie P.	Barszcz z pasztecikami z mięsem. Fasolka szparagowa w ryżu. Wątróbka cielęca a la Nelson. Pierożki borówkowe z śmietaną. <u>Kolacja:</u> Pomidory faszerowane zielonym groszkiem w majonezie.
Piątek **7** Kajetana	Zupa szczawiowa z ryżem. Omlet z pieczarkami. Pstrągi na niebiesko z ziemniaczkami. Drożdżowe knedelki z morelami. <u>Kolacja:</u> Ziemniaczki lub kasza - kefir.
Sobota **8** Cyrjaka męcz.	Zupa kalafiorowa. Gołąbki z kapusty i ryżu. Paprykarz z kurcząt z kluskami. Sałata z surowych owoców. <u>Kolacja:</u> Jaja na twardo w sosie szczawiowym

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 30-go.

ZAGADKA LITEROWA.



GUZIK W BUTELCE.

Wystarczy zapomocą szkła - powiększającego skupić na nitce pęk promieni słonecznych i w ten sposób ją przepalić.

SIEĆ RYBACKA.



Sieć wystarczy przeciąć wzdłuż grubej linji w ośmiu miejscach, tak jak to wskazuje rysunek.

KOLIGACJE.

Marchewka.

ZAWODY I WOZY.

Piekarz nazywa się Pisarski. Piekarski jest lekarzem, pisarzem jest Lekarski.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

NA TARGU.

Kilka przekupek sprzedawało swe różne towary w różnych cenach za kilo i wszystkie utargowały po 10.50 zł. Ceny towarów wahały się od 3.50 do 0.10 zł. Jaka mogła być możliwie największa ilość przekupek, jeśli każda sprzedała całkowitą ilość kilogramów i każda sprzedawała swój towar w innej cenie.

MAŁY TURNIEJ.

Cztery kluby Ruch, Bieg, Skok i Rzut — wzięły udział w małym turnieju piłki nożnej. Każdy klub grał jeden raz z każdym innym. Wygrany mecz liczył się 2 punkty, remis 1 punkt.

Skok zdobył 5 punktów, Bieg 3 punkty, Rzut 1 punkt. Ogółem padło 11 bramek, z których 5 na korzyść Biegu. Bieg wygrał z Rzutem w stosunku 2:1.

Jaki był wynik meczu między Rzutem a Skokiem?

PRÓBA SIŁY.

Panowie Szmidt i Szwarc sprawdzali pewnego razu siłę swych mięśni przy pomocy wagi sprężynowej. Pan Schmidt, ciągnąc obiema rękami za koniec wagi, przymocowanej do ściany, ściągał wagę do 49 kg, podczas gdy pan Szwarc w tych samych warunkach zdołał ściągnąć tylko 42 kg. — Ile kilogramów wskaże waga, jeśli za jeden jej koniec będzie ciągnął pan Schmidt, a jednocześnie za drugi koniec pan Szwarc? Waga była obliczona na ważenie ciężarów w granicach 75 kg.

DUŻY SPADEK.

Bogaty obywatel zapisał w testamencie swoim dzieciom 46800 złotych, z warunkiem, aby każde z dzieci dostało tyle samo. Jednak nim przystąpiono do podziału, zmarło dwoje dzieci. Majątek podzielono na równe części i — wobec śmierci dwojga — każde z pozostałych dostało o 1950 zł więcej. Ile dzieci miał ów obywatel, umierając?

NIEDOKŁADNY ZEGAR.

Wskazówki dużego zegara ściennego pokrywają się dokładnie co 65 minut czasu prawidłowego. Czy zegar ten śpieszy się czy spaźnia, i o ile?

HUMOR ZAGRANICZNY

DOMYŚLNY.



— Jak tylko pana zobaczyłem, zaraz zauważyłem że coś się panu stało! *(Ric-et-Rac).*

ZMARTWIENIE RZEŹBIARZA.



— Niech pan sobie pomyśli, co on ma za zmartwienie! Powiedziano mu, że to już ktoś wyrzeźbił przed nim! *(Ric-et-Rac)*

Dokończenie ze strony 14.

Weźmy choćby to nieszczęśliwe „perpetuum mobile". Chyba nie ma nic łatwiejszego, jak wymyśleć maszynę lub zespół maszyn, któryby „powinien" wiecznie się poruszać. A jednak jest to niemożliwem, bo fundamentalna zasada fizyki powiada, że nic nie może wydać więcej energji, niż jej przyjęło. A że w naturze nie można usunąć tarcia, które pochłania energję, więc i „perpetuum mobile" jest niemożliwem i naprawdę szkoda nad tem tracić czas.

Ściślej: „perpetuum mobile" w pojęciu wynalazców to wytwarzanie pracy z niczego, raz uruchomiona maszyna będzie dalej poruszać inną aż do końca świata. To nie jest, niestety, możliwem.

Jak to jest miło, mimo deszczu, w limuzynie siedzieć i widzieć co się z przodu dzieje — rzecz zresztą dla kierowcy konieczna. Zawdzięczamy to automatycznej wycieraczce. Tędy i spowrotem waha się, ściera deszcz w jednostajnym takcie. Co to przypomina? Do góry nogami postawiony metronom. Właśnie! Toteż słusznem jest, że wycieraczkę wymyślił Józef Hoffman, znany muzyk. Dzięki niej jest i może być wesołym, bo nietyle gra jego, ile ten niezbędny obecnie sprzęcik, przyniósł mu miljonik — ale dolarów!

Wszyscy teraz jeździmy na cienkich balonach. Wynalazł je niejaki A. L. Putman, z Lansing w Ameryce. Nerwowy ten pan wiecznie się irytował na to, że jego samochód hałasuje. Na froncie do pasji go doprowadzał hałas ciężarówek. Kiedyś, schodząc z samochodu kopnął go w oponę ze złości. Opona odpowiedziała głośnym echem. „Tu leży piesek pogrzebany!" — pomyślał ucieszony tem odkryciem przyczyny hałasu. Po licznych próbach w 1920 r. zgłosił swoją oponę do patentu, ale dopiero w 1925 r. otrzymał go i w ciągu niebywale krótkiego czasu cały świat zaczął jeździć wyłącznie na balonach. Tak to zamiłowanie ciszy doprowadziło do majątku!

Wynalazki, wynalazcy — słowa błyskotliwie przemawiające do wyobraźni. Nie powinno się jednak zapominać o legjonach cichych uczonych, którzy dnie i noce spędzają w laboratorjach w pogoni za ustaleniem nieraz jednego faktu, jednego prawa. Praca nieefektowna, wymagająca oddania, poświęcenia, wiedzy i cierpliwości. Nigdy nie wiadomo co z małej laboratoryjnej wiadomości może wyniknąć i nawet prawdziwy uczony nader często wogóle niedba o praktyczne zastosowanie jego odkrycia. Hertz np. wręcz powiedział po odkryciu przez niego fal elektromagnetycznych, że nie widzi praktycznego ich zastosowania, a jednak radio to konsekwencja jego badań.

Każdy szczegół naszego życia zbudowany jest albo na trudzie uczonego, albo pomyśle wynalazcy. Mach powiedział: „nauka to ekonomja myślenia" — miał rację, ale — praktycznie biorąc — nauka to podnoszenie ludzkości z okresu zwierzęcego do coraz wyższego poziomu cywilizacji. I choć szkolna historja to zbiór wojen, to jednak twierdzę, że prawdziwą historją ludzkości, byłaby historja nauki, wynalazków i ich skutków.

A ludzkość nie powinna dopuszczać, by Ikarowe loty kończyły się tragicznie!

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

NA SCENIE.

Teatr Jaracza wędrujący po całej Polsce z dwuosobową sztuką **Somina „Zamach"**, zawitał obecnie **do Krakowa** na kilka gościnnych występów. Jaracz i jego teatr jest zawsze w Krakowie gorąco witany. Tym razem zawiodła sztuka, ale kreacja Jaracza budzi wielki podziw i uznanie dla jego niezmordowanej pracy.

Sprawozdawca I. K. C. tak pisze m. in. o gościnie Jaracza:

„„Zamach" jest typową „bombą" teatralną, w której granguiniolowskie sceny walczą z melodramatycznemi o większe wrażenie na widowni. „Zamach" nie jest dramatem w istotnem tego słowa znaczeniu, jest jedną sceną dramatyczną, rozciągniętą aż na trzy akty... Sztuka operuje tylko nastrojem. Niema żadnej akcji dramatycznej, niema narastania wypadków. Jeżeli się coś dzieje, to o tem dowiadujemy się z aparatu radjowego,



Stefan Jaracz jako Gustaw Bergman w „Zamachu" Somina.

albo z rozmowy telefonicznej. Bo nikła akcja rozwija się za kulisami. Treść wewnętrzna przeżyć bohaterów sztuki również nie zostaje wypowiedziana słowami tekstu. Tekst jest słaby. Ale Jaracz bez tekstu robi z Bergmana postać żywą i prawdziwą. Tekst nawet przeszkadza Jaraczowi w budowaniu psychologji, czego najlepszym dowodem zakończenie III aktu. To też najświetniejszy jest Jaracz w momentach, gdy nic nie mówiąc, w głębokiem zamyśleniu stara się przypomnieć sobie, skojarzyć wszystkie fakty, mogące dać mu wytłumaczenie zagadki i równocześnie uwolnienie od podejrzeń. Arcydziełem zaś jest rozmowa telefoniczna Jaracza w akcie drugim i dla tej jednej choćby sceny warto zobaczyć Jaracza w „Zamachu".

Partnerką Jaracza jest obecnie Stanisława Perzanowska, świetna reżyserka i ciekawa artystka dramatyczna. Jaracz w swem tournée po całej Polsce jest owacyjnie witany w wielu miastach i miasteczkach, które są dumne, że mogą gościć u siebie znakomitego artystę.

Teatr Polski w **Poznaniu** gra obecnie miłą i bezpretensjonalną historyjkę o lekkomyślnej mamie i energicznej a brzydkiej córce. Jest to komedja Herza i Mayera p. t. **„Moja kochana głupia mama"**. — Główne role w tej wiedeńskiej wesołej komedyjce grają Żbikowska, Ludwiżanka i Hańcza. Świetne jak zawsze, nowoczesne wnętrza, dał Z. Szpinger.

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Nakładem firmy wydawniczej **„Płomień" w Warszawie** ukazał się cykl powieściowy angielskiej pisarki **Heleny Smith**, cykl bardzo ciekawy, oparty na autobiograficznych przeżyciach autorki. Autorka, jako młodociane dziewczę, wraz z koleżankami znalazła się na froncie wojennym we Francji, zaraz po ukończeniu pensji i wraz z niemi pełniła funkcje sanitarjuszki. Wojna, zwłaszcza wojna nie o niepodległość kraju, ale wojna z dyplomatycznej przyjaźni w obcej ziemi, wstrząsnęła przyszłą autorką i stała się podstawą jej psychicznych przeobrażeń i stanowczych poglądów na powojenne życie społeczeństw.

Powieści Heleny Smith obfitują w bardzo emocjonującą akcję, ale dla wielu czytelników ciekawsze będą jej głębokie poglądy, nie pozbawione niejednokrotnie trafnych spostrzeżeń i słuszności. W **„Pasierbicach wojny"** omawia przeżycia na froncie, a jej stanowisko przypomina słynne książki Remarque'a. W **„Kobietach powojennych"** daje satyrę na społeczeństwo, które nie chce dać pracy kobietom nawet tym, które społeczeństwu były porzebne na wojnie. W powieści **„Kobiety cienie"** autorka maluje dzieje bezdomnych nędzarzy, a w **„Kobietach zbytku"** daje obraz środowiska kobiet zwyrodniałych, usiłuje bezskutecznie ratować zatrute złem dziewczęta. Wreszcie znajduje się **„Pod jednym dachem"** wraz z lokatorami kamienicy w Londynie, z którymi, gnębionymi przez bezrobocie i powojenne klęski, przeżywa ich krzywdy i niedole.

Przeżycia wyrobiły w autorce bezkompromisowość i odwagę bezwzględnej prawdomówności.

Powieści te pisane z dużym realizmem i umiarem, warto przeczytać. (b)

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 2 sierpnia 1936 r.

8.00: Audycja poranna.
9.00: Transmisja nabożeństwa.
10.20: Koncert — „Goethe i Shakespeare w muzyce".
12.03: Poranek muzyczny.
14.30: Audycja dla wsi.
15.30: Lekkie piosenki i orkiestra Ferruzzi (płyty).
17.00: Koncert solistów.
17.30: Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 10.000 m z udziałem Noji.
18.05: „Podwieczorek przy mikrofonie".
19.55: Recital skrzypcowy Stefana Frenkla.
20.25: „Poezja legjonowa" — kwadrans poetycki.
21.00: Premjera słuchowiska J. Parandowskiego p. t.: „Gałązka Oliwna".
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Tadeusz Sygietyński: Pieśni i tańce góralskie (płyty własne nagranie P. R.).
23.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 3 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Kwintet Wiesława Wilkosza.
15.45: „O pająku, który z głodu zjadł własną sieć" — opowiadanie dla dzieci St. Kubickiego (z Poznania).
16.00: „Szlem w piosenkach" — lekka audycja muzyczna.
17.00: Koncert popularny.
19.00: Audycja żołnierska.
19.30: Aleksander Glazunow — kwartet smyczkowy a-moll.
20.00: Duety i piosenki w wyk. J. Godlewskiej i A. Boguckiego.
20.30: „Legenda Kościuszki i legenda Piłsudskiego".
21.00: Koncert.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Wirtuozi techniki wokalnej i instrumentalnej.
23.00: Muzyka taneczna.

Wtorek, 4 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej.
15.45: Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 100 m (finał) z udziałem St. Walasiewiczówny.
16.05: „Skrzynka P. K. O.".
16.20: „Kwiaty w muzyce".
16.45: „Hetman Jan Tarnowski i bitwa pod Obertynem" — odczyt.
17.00: Koncert z Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego.
17.40: Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 800 m (finał z udziałem Kucharskiego).
19.00: Recital fortepianowy Ryszarda Wernera.
19.30: Opera Wł. Żeleńskiego: „Janek".
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Muzyka taneczna z Ciechocinka.

Środa, 5 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku.
16.15: Koncert w wykonaniu Dętej Orkiestry Reprezentacyjnej K. P.
17.00: Recital śpiewaczy Emmy Szabrańskiej.
17.20: „Na chłopskiem weselu" — suita ludowa F. Rybickiego.
17.50: „Anegdoty z życia Józefa Ignacego Kraszewskiego.
19.00: „Pieśni Legjonów".
21.00: Recital śpiewaczy Wiktora Bregy.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Koncert muzyki polskiej.
23.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, 6 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Salonowego.
15.45: „Wśród dzieci, które spędzają wakacje w mieście" (transmisja).
16.00: Orkiestra Marka Webera.
16.10: Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — rzuty oszczepem z udziałem Lokajskiego i Turczyka.
16.30: Muzyka (płyty).
16.45: „6 sierpnia 1914 roku" — odczyt.
17.00: Pieśni polskie.
17.15: Marsze Wojska Polskiego w wyk. Orkiestry Dętej 36 p. p.
17.50: „Wywczasy pana Mikołajczyka" — pogadanka.
19.00: Humoreska radjowa: „Sprzedam kamień".
19.45: „Nasze pieśni" — odśpiewa Zofja Wyleżyńska.
20.05: „Niemieccy romantycy" — transmisja z Mozarteum w Salzburgu.
21.00: Muzyka (płyty).
22.00: Wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie oraz feljeton p. t.: „Polacy w Olimpijskim Kokursie sztuki" (z Berlina).
22.35: Tańce polskie na fortepian w wyk. na 4 ręce.
23.00: Muzyka taneczna.

Piątek, 7 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Muzyka.
15.45: Rozmowa z chorymi ks. kapelana Rękasa (ze Lwowa).
16.00: Koncert solistów.
16.45: „Warszawskie uczelnie akademickie" — odczyt.
17.00: „Uwertury" — koncert.
19.00: „Franciszek Liszt" — Montaż muzyczno-słowny.
20.30: „Z Golgoty Legjonów" — fragment z książki Andrzeja Struga.
21.00: Koncert rozrywkowy.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Muzyka taneczna.

Sobota, 8 sierpnia 1936 r.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Koncert południowy w wyk. Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
14.30: Józef Schmidt i sławni pianiści jazzowi.
15.45: „Dwa Michały na wakacjach" — pogadanka dla dzieci.
16.00: Koncert solistów.
16.45: „Z rybackim kutrem na połowie flonder" — pogadanka.
17.00: Koncert z Ogrodu Zoologicznego.
17.50: „Brzegami Prutu ku Howerli" — feljeton.
19.00: „Muzyka słodka choć cierpkie słowa".
20.15: Audycja dla Polaków zagranicą p. t.: „Letnie inwestycje".
21.00: Recital fortepianowy Jakóba Gimpla.
21.30: „Genjometr" — humoreska radjowa.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.